Nr. 18. Warszawa, d. 16 Września 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

We wrześniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie i wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) września na klępy, łanie i kozy.

Lunacya we wrześniu.

Ostat. kw. d. 17 o g. 5 rano.
Nów d. 25 o g. 9 rano.

Wschód i Zachód Słońca

we wrześniu.

Dnia	Wschód g.	Wschód m.	Zachód g.	Zachód m.
16	5	36	6	13
17	5	38	6	11
18	5	40	6	8
19	5	41	6	6
20	5	42	6	4
21	5	44	6	2
22	5	45	5	58
23	5	46	5	57
24	5	48	5	55
25	5	50	5	52
26	5	52	5	50
27	5	54	5	48
28	5	56	5	44
29	5	58	5	43
30	5	59	5	40

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 227. 228

Nr. 18. | Warszawa, d. 16 września 1908 r. | Rok X.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



NA GNIEŹDZIE.

JAN SZTOLCMAN.

PTAKI DRAPIEŻNE DZIENNE
kraju naszego.

(Ciąg dalszy).

Rybołów, zwany także przez naszych uczonych orłem morskim, orłem-rybitwem, orłem rzecznym lub orłem-rybożerem, stanowi sam w sobie wybitną grupę, dla której nawet angielscy uczeni z Bowdler-Sharpe'm na czele osobny podrząd *(sub-ordo)* utworzyli. Ptak ten posiada wiele cech orłów właściwych, różni się jednak od nich wybitnemi cechami. I tak golenie posiada długie, okryte przylegającemi, krótkiemi piórami, które nie tworzą tak charakterystycznych dla ptaków drapieżnych, dziennych—nogawic. Skoki pokryte są łuskowatemi, chropowatemi tarczami. Dolne brzuśce palców posiadają kępki ostrych kolców, które doskonale dopomagają przy łowieniu gładkich, oślizgłych ryb, stanowiących jedyne pożywienie rybołowa. Do tego też samego celu znakomicie służą bardzo długie, mocno zakrzywione i ostre szpony, które nadto posiadają jedną cechę wybitną, rybołowom tylko właściwą, a mianowicie, że na spodniej powierzchni nie mają charakterystycznego rowka, lecz są wypukłe, podobnie jak i na powierzchni górnej. Najważniejszą jednak cechą rybołowa, wyróżniającą go od wszystkich ptaków drapieżnych, dziennych, jest jego palec zewnętrzny, który jest *zwrotny*, co znaczy, że ptak może go zarówno zwracać ku przodowi, jak i ku tyłowi, a w tym ostatnim wypadku staje się podobnym do ptaków dwuparzystopalcowych *(Zygodactyli)*, jak papugi, dzięcioły, kukułki, tukany i inne.

Głowę ma rybołów niewielką, dziób średniej wielkości, mocno zagięty, skrzydła długie, znamionujące zawsze lot wytrzymały, ogon średniej długości, równo ścięty, upierzenie przylegające do ciała.

Ptak stary posiada wierzch ciała ciemno-szaro-brunatny, spód czysto-biały, jedwabisto połyskujący. Wierzch głowy białawy z domieszką płowego koloru i silnem, brunatnem upstrzeniem na czole i na tyle głowy. Od oka po boku głowy biegnie skośna, ciemno-brunatna pręga, która się łączy z takim-że kolorem płaszcza. Na przodzie szyi jasno-szaro-brunatna, szeroka pręga, która oddziela białe podgardle od takiej-że piersi i brzucha; lotki ciemno-brunatne, od spodu białawe; sterówki brunatne, białawo w poprzek pręgowane, prócz dwóch środkowych i skrajnych chorągiewek następnych, gdzie są tylko bledszym kolorem odznaczone. Dziób i pazury czarne; woskówka i nogi popielato-błękitnawe, tęcza cytrynowo-żółta.

Ptak młody jest podobnie ubarwiony, tylko posiada na płaszczu wszystkie pióra obrzeżone płowym lub rudawym kolorem, wierzch głowy ciemny z podłużną, białą lub płową pstrocizną, pręgę na piersiach niewyraźną, a natomiast pręgi na ogonie wyraźniejsze.

Rybołów zamieszkuje całą Europę, Afrykę, Azyę aż po Indye Wschodnie oraz Północną Amerykę, a także część północną Ameryki Południowej, gdziem go obserwował w Peru aż po 11° szerokości południowej (port Huacho). Widzimy więc, że ptak ten jest prawie kosmopolityczny, gdyż z wyjątkiem Australii, zamieszkuje wszystkie części świata. W Australii zastępuje go blizka bardzo odmiana *(Pandion leucocephalus)*, podobnie ubarwiona, lecz znacznie od naszego rybołowa mniejsza. U nas dość jest pospolity na wschód od Wisły, trzymając się lasów w pobliżu większych jezior, rzek lub stawów. W Rykach, gdzie są obszerne stawy, widywałem parę tych ptaków codzień niemal. Dość jest pospolity w Lubelskiem, Płockiem i Augustowskiem; nierównie rzadziej spotyka się na zachód od Wisły. Przylatuje do nas w ostatnich dniach marca lub na początku kwietnia, a odlatuje w początkach października, choć niektóre młode osobniki pozostają do końca tego miesiąca.

Lot orła rybołowa jest powolny, ale bardzo wytrzymały. Ptak ten z łatwością może przelatywać znaczne przestrzenie, a gdy tego potrzeba zachodzi w porze lęgowej, wędruje nieraz mile całe za żerem. Nazwa jego pochodzi ztąd, że wyłącznie na ryby poluje i niemi się tylko żywi, a chociaż o. Armand David twierdzi, że bierze często ptaki wodne, to jednak świadectwa takich obserwatorów, jak Brehm, Taczanowski i inni, twierdzenia te obalają. Brehm utrzymuje przeciwnie, że ponieważ ptactwo błotne i wodne nigdy ze strony rybołowa krzywdy nie zaznaje, więc się go wcale nie boi i uważa go widocznie za swego. Miałem i ja sposobność przez pół roku z rzędu obserwowania rybołowów w Ameryce Południowej, w ujściu rzeki Tumbezu, a nigdy nie zdarzyło mi się widzieć, aby ptaki te polowały na ptactwo wodne lub błotne, a celem ich codziennych wypraw były jedynie ryby.

Satysfakcyą prawdziwą dla obserwatora jest śledzić za łowami orła rybołowa. Ptak unosi się nad wodą w wysokości jakich kilkunastu metrów, niekiedy zatrzymuje się w powietrzu, poruszając stale skrzydłami na podobieństwo pustułki, a bystry wzrok jego wypatruje ryby stojące pod wodą. Gdy wreszcie zdobycz upatrzy, rzuca się z szybkością błyskawicy na dół, przytuliwszy

Z PAMIĘTNIKA KUROPATWY.

Wiecie, że kuropatwy żyją gromadnie i gnieżdżą się razem w brózdach zagonów, za najmniejszym hałasem porywają się w górę i rozsypują, jak garść siana rzuconego na ziemię. Gromada nasza liczna i wesoła mieściła się na skraju lasu, mając po jednej stronie żerowisko, po drugiej — konieczne schronienie. Odkąd porosłam w pióra i nauczyłam się sama latać i żywić, czuję się bardzo szczęśliwą na ziemi. Jedna rzecz tylko niepokoi mnie trochę, to jest owo sławne otwarcie polowania, o którem matki nasze zaczynają mówić cichaczem między sobą. Jeden z najstarszych naszych towarzyszy, rzekł do mnie: — Nie bój się mała. Już ja cię wezmę dnia tego pod swoją opiekę, i nic ci się nie stanie.

Był to stary kogut, niezmiernie bystry i jeszcze rześki, chociaż na piórach i na piersi miał jeszcze ślady śrótów. Będąc młodym, dostał śrótem w skrzydło, co uczyniło go nieco ciężkim, dlatego też rozglądał się bacznie w około siebie, zanim się porwał do lotu. Często zabierał mnie z sobą na brzeg lasu. Stał tam dziwny, mały domek, ukryty w cieniu kasztanów, cichy, jakby pusty i zawsze zamknięty.

Przypatrz się dobrze temu małemu domkowi, mówił stary: gdy zobaczysz dym idący z komina, drzwi i okna otwarte, źle będzie z nami.

Rzeczywiście, pewnego wczesnego ranka usłyszałam z brózdy przytłumione wołanie. Wołał mnie stary kogut. Oczy jego płonęły dziwnym blaskiem.

— Chodź tutaj prędko i rób to, co ja.—Napół śpiąca pobiegłam ku niemu, nie podnosząc skrzydeł, nie skacząc nawet, jak mysz. Pobiegliśmy w stronę lasu; przechodząc, zobaczyłam dym idący z komina małego domku, okna pootwierane, a przed otwartemi drzwiami — myśliwych w kostyumach, otoczonych psami, skaczącymi do góry. Gdy przechodziliśmy, jeden z myśliwych zawołał.

— Chodźmy teraz w pole, po śniadaniu pójdziemy w las.

Zrozumiałam, dlaczego mój stary towarzysz prowadził mnie pod drzewa. Serce mi biło mocno, zwłaszcza, gdy myślałam o moich biednych towarzyszkach.

skrzydła do ciała, i uderza w powierzchnię wody z taką siłą, że bryzgi rozlatują się daleko w powietrzu, a ptak znika niekiedy pod wodą, lecz w tejże chwili ukazuje się na powierzchni, a otrząsnąwszy pierze z kropli, kilkoma silnemi uderzeniami skrzydeł wybija się w górę i zdobycz unosi, jeśli zaś chybił, to rozpoczyna łowy na nowo, niezrażony bynajmniej niepowodzeniem.

Zdobycz swoją unosi w szponach w ten sposób, że dwa palce jednej nogi wpijają się w grzbiet ofiary z jednej strony, a dwa drugie — ze strony przeciwnej; i tutaj uwidacznia się potrzeba zwrotności palca skrajnego. Zwykle, a jak twierdzi Brehm i Taczanowski — zawsze, rybołów niesie rybę głową naprzód, trzymając ją w kierunku osi własnego ciała: że jednak nie zawsze zwraca ją głową naprzód, o tem mogłem się przekonać naocznie, gdyż razu pewnego w ujściu Tumbezu widziałem, jak rybołów niósł rybę zwróconą ogonem ku przodowi.

Drapieżnik ze swą zdobyczą odlatuje zwykle na upatrzone przez się drzewo i tam na jednym z grubszych konarów spokojnie i czas dłuższy ucztuje. Jak dalece ptak ten lubi odbywać swe biesiady na tych samych drzewach, mogłem się przekonać we wspomnianej przezemnie miejscowości w ujściu rzeki Tumbezu. Znałem tam na przestrzeni jednej wiorsty jakie cztery lub pięć drzew, na których rybołowy stale swe uczty wyprawiały. Szczególniej jedno z nich był przez nie tak uprzywilejowane, że niemal codzień o pewnej porze dnia można tam było zastać rybołowa, spożywającego systematycznie swą zdobycz. Chciałem z tego skorzystać, aby zdobyć jeden okaz do mojej kolekcyi, lecz ptak był tak ostrożny, że się zrywał już z odległości 200 — 300 kroków, gdym do niego z zachowaniem wszelkich ostrożności łódką podjeżdżał. W ten sposób cztery razy mi się wymykał, aż dopiero za piątym razem tak szczęśliwie trafiłem, że siedział do mnie tyłem więc cichutko łódkę naprzód pchałem, aż zjechawszy go na przyzwoitą metę, strzałem grubego śrótu skrzydło mu strzaskałem i broniącego się zawzięcie po wielu trudach do łódki wziąłem.

Rybołów, rzucając się na swą ofiarę, zagłębia jej w grzbiet szpony z taką siłą, że nie może ich następnie z łatwością oswobodzić. Bywa to nieraz przyczyną jego śmierci, gdy bowiem zaatakuje zbyt dużą rybę, i unieść jej w górę nie może, pozostaje tak mocno do grzbietu swej ofiary przyczepiony, że ta go pociąga pod wodę i o śmierć przyprawia.

Z ryby zjada tylko najlepsze kawałki, resztę zaś porzuca, a o ile się zdaje, wnętrzności nigdy nie rusza. Nadto lubi tylko ryby świeże. Z tego wnioskować można, jak znaczne szkody w rybołówstwie para takich ptaków zdziałać może, osobliwie, jeśli ma młode do karmienia. Taczanowski mówi, że młode dorastające, które u siebie w domu chował, zjadały naraz po 6 karasi od 5 — 6 cali długich, i to były w stanie po kilka razy dziennie powtarzać.

Pora lęgowa rybołowa wypada u nas na koniec kwietnia. Gniazdo ptaki te budują w głębi lasu, nieraz w znacznej od wód odległości, wybierając na ten cel suche wierzchołki najwynioślejszych sosen. Gniazdo jest niepomiernie wielkie i podobnie jak orłów, z gałęzi zbudowane, tylko gładziej urobione i wewnątrz wysłane perzem, darniną, suchą trawą, z domieszką resztek rybich, które tam się z czasem nazbierają. Ponieważ ptaki co roku wracają do tego samego gniazda, które tylko poprawiają, dokładając nowych materyałów, więc z czasem przybiera ono rozmiary niebywałe. Samica niesie zwykle 3 jaja podługowate, o skorupie mocno chropowatej. Ubarwienie ich bywa zmienne, najczęściej jednak trafiają się rudawo-białawe, w znacznej części pokryte ciemno-rdzawemi lub rdzawo-czerwonemi, grubemi plamami i namazaniami; trafiają się też niekiedy całkowicie ciemno zamazane, jak jaja pszczołojada. Średnie pomiary jaj są 63 — 47 m/m. Młode wylęgają się około 20 maja. Ptaki nie zrażają się, gdy im się dzieci zabiera; lecz straciwszy jaja, nietylko gniazdo porzucają, ale się nawet z okolicy wynoszą.

Ponieważ ptak ten, jak to wyżej zaznaczyłem, dotkliwe szkody w gospodarstwach rybnych wyrządza, więc też zasługuje na bezwzględne tępienie tam, gdzie się takie gospodarstwa znajdują. Dla łowiectwa rybołowy są zupełnie obojętne.

(C. d. n.)

„Usque ad finem".

I. W sprawie rui sarn.

W N-rze 14-ym „Łowca Polskiego" z r. b., znów poruszoną została przez p. X-a kwestya rui sarn, posiadająca wraz z osławionym wężem morskim, pojawiającym się w sezonie ogórkowym na szpaltach rozmaitych kuryerów, ów wspólny przywilej, iż, jakkolwiek długo a szeroko rozprawiać o niej możemy na gościnnych łamach „Łowca Polskiego", ostatecznie rozstrzygniętą nie została.

Nie powracałbym też do niej, wypowiedziawszy się już w tym względzie w „Łowcu Polskim" roku zeszłego,

---

Nagle, zanim zdołaliśmy dosięgnąć brzegu lasu, psy rzuciły się w naszą stronę.

— Przycupnij, przycupnij! — zawołał stary, przysiadując.

Równocześnie, o dziesięć kroków od nas, podniosło się stado przestraszonych przepiórek, i rozłożywszy skrzydła, z okrzykiem przestrachu rzuciło się do lotu. Usłyszałam okropny huk, i oboje zostaliśmy zasypani białym pyłem, o dziwnym zapachu, gorącym, chociaż słońce zaledwie wychyliło się na niebo. Byłam tak przerażona, że nie mogłam ruszyć się z miejsca. Na szczęście las był blizko. Towarzysz mój ukrył się pod małym dębem, ja przysiadłam obok niego, i tak schowani, patrzyliśmy przez liście.

W polu huczała tymczasem okropna kanonada. Za każdym strzałem zamykałam oczy zupełnie ogłuszona; gdy odważyłam się spojrzeć, widziałam przed sobą dużą równinę, na niej latające tu i tam psy szalone, węszące wśród trawy i zboża. Myśliwi nawoływali je, klnąc; strzelby błyszczały w słońcu. W jednej chwili zobaczyłam małą chmurkę dymu, i chociaż wkoło nie było żadnego drzewa, w powietrzu fruwały jakieś listki. Mój stary towarzysz objaśnił mnie, że to są pióra; i rzeczywiście, nie dalej jak o sto kroków od nas spadła na ziemię śliczna, szara kuropatwa z głową skrwawioną.

Gdy słońce podniosło się wysoko i zaczęło dopiekać, kanonada ustała na chwilę. Myśliwi wracali do małego domku. Szli, rozmawiając, ze strzelbami na ramieniu, koło nich wlokły się psy zmęczone, wywieszając długie języki...

— Będą teraz jedli — rzekł mój towarzysz — zróbmy i my to samo.

Zeszliśmy w pole, tuż blisko lasu, szukając w zbożu ziarna. Spotkaliśmy tu dwa piękne bażanty o piórach brunatno-czerwonych, kryjące się w przestrachu. Nie były już takie dumne, jak zwykle. Jedząc, opowiadaliśmy sobie wrażenia, wypytywali wzajemnie. Tymczasem, śniadanie myśliwych, dotąd ciche i spokojne, zaczęło stawać się coraz głośniejsze; słyszeliśmy brzęk szklanek, strzelanie korków z butelek. Stary kogut oświadczył, że czas jest szukać schronienia.

Mówią, że o tej porze las drzemie. Mały strumyk, gdzie chodzą pić sarny, był dokoła pusty. Ani jeden pyszczek zająca nie zmącił jego wody. W powietrzu tylko czuć było dziwne drżenie, jakby każdy listek drzewa,

utwierdzony w mem przekonaniu, zdaniem popierającem Sz. Pana Redaktora, jak również wytrawnego znawcy, p. Sokalskiego, gdyby p. X, z godnem co prawda uznania, zaniechaniem „zaciętego oporu“, w obronie swych poglądów, nie był się pokusił ów „węzeł gordyjski“ wbrew naszym spostrzeżeniom — rozwiązać.

Otóż, nie zaprzeczając bynajmniej, nieznanej mi co prawda powagi p. Testart w „Chasseur Français“, na którą, w obronie swego poglądu, powołuje się jego tłumacz, p. X, — wyjawić niech będzie wolno to twierdzenie, iż klimat bynajmniej nie jest obojętnym czynnikiem w miłosnym impulsie wszelkiej zwierzyny, a zresztą sam p. Testart we własnej osobie przyznaje ruję sierpniową, nazywając prawdziwą odbytą w październiku, co, nie przeczę, może być słusznem względnie do cieplejszego klimatu Francyi. Przeciwnie, wzgląd klimatu nie może być wziętym w rachubę w drugiem twierdzeniu p. T., jakoby sarna nosiła 20 tygodni w przeciwieństwie do określonego przez naszych znawców peryodu ciężarności na 40 tygodni. Tak kolosalna różnica skłania mnie przyjmować tezę „Chasseur'a“ z usprawiedliwionym sceptycyzmem, a własne spostrzeżenia popierają go, niestety, w pełni!

Przed kilku dniami do rozpaczy przywiedziony, nieustannym od 6-ciu tygodni deszczem, w zgniłą masę przemieniającym obfite plony tegoroczne, zarzuciłem z pasyą 10-cio strzałowy Wincherśterek na ramię i urągając bezmyślnej przyrodzie, puściłem się do lasu sprawdzić, czy gajowi, na ów czas, dość pilnie, w nieoczekiwaniu pańskiego przybycia, strzegą wstępu powierzonych im kniei nieproszonym Telimenom z towarzyszami grzybobrania. Przechodząc wspaniałym, starym lasem, usłyszałem w przylegającym, dość gęstym zagajniku, ów głuchy, gardłowy dźwięk, przyrównany przez p. X., do miłosnego westchnienia, a który, mniej poetycznie, scharakteryzowałbym — ochrypłem szczekaniem, któremu w nieznacznej odległości odpowiadał potężny bas rywala, przerywając ciszę wieczorną lasu tak melodyjnym dla ucha myśliwego duetem. Głosy obu domniemanych współzawodników zdawały się do siebie zbliżać, a wprawny słuch w niedługim odstępie zdołał chwycić, dzięki nasyconemu wilgocią powietrzu, odgłos przypominający zderzenie dwóch kijów. Odbywały się więc zapasy! Żyłka myśliwska wnet pobudzona, natchnęła mi podstępny plan. Lekko pod wiatr stąpając, bez szelestu, po zmoczonej darni, pod osłoną starych drzew, rychło dostałem się na prostopadłą linię młodego zrębu, pnącą się pod górę strzelistą perspektywą.

Ledwo zająłem miejsce, nasłuchując, gdy w sporej odległości, trzask gałęzi po mej lewej stronie skłonił mnie do baczności i oto na jakie sto kroków wyłoniła się z gęstwiny zgrabna postać sarnia, przeszła przez linię i znikła w ścianie gąszczu po prawej stronie; za nią, lecz o wiele wyżej, zarysował mi się na tle jasno-popielatem nieba profil rogacza, zdradzającego niepokój w całej postawie, by równie szybko z oczu mi zginąć w zwartej masie zieleni. Naraz, słyszę bliższy mi łomot wśród zagajnika i w wyzywającej pozie, widoczny zwycięzca świeżo odbytego turnieju, poniżej tropów swej bohdanki, mknie przez linię wspaniały rogacz. Miłość upaja lecz zaślepia! Sprawdził na sobie ów aforyzm, mój biedny zwycięzca.

Złożyć się z ulubionego „Wincia“ i za cyngiel pociągnąć, było dziełem chwili, a ugodzony niklówką na komorę rogacz, rozciągnął się, zanim dopaść zdołał w ostatnim skoku, ochronnej ściany zagajnika. O ironio nawet kozich losów! Zwyciężony stał się więc prawdopodobnie właściwym zwycięzcą i posiadł pozornie przedmiot niedawnej walki.

Były to więc niezaprzeczenie gody sierpniowe.

Na jakiej podstawie mielibyśmy twierdzić wraz z p. T., iż one pozostaną bezowocnemi, a dopiero październikowa poprawka ma być płodną? Tego ani p. T. ani p. X. nam nie wyjaśniają. Jeśli przyjmiemy okres ciężarności 40 tygodniowy, jako prawdziwy, bezwarunkowo sierpień jest ogólną datą zapłodnienia, albowiem małe spotykamy najczęściej w maju. O ile zaś podobna wątpliwość w zastosowaniu do kongoni afrykańskich uzasadnioną — by była ze względu na trudność badania obyczajów tych zwierząt, o tyle w stosunku do naszych rodzimych sarn, zaludniających w stanie niemal domowego przyswojenia większe i mniejsze zwierzyńce, wątpliwości tej być nie powinno, a według mnie, ruja sierpniowa bezwarunkowo ma miejsce, ruja październikowa względnie do klimatu, miejsce mieć może, płodna zaś lub niepłodna może być zarówno jedna, jak i druga, zależnie od stanu odżywienia poszczególnej sztuki w danej chwili; okres ciężarności jest około 40 tygodniowy, spotykamy albowiem wyjątkowo w lipcu koźlęta świeżo porodzone, których poczęcie nastąpiło właśnie w październiku, zgodnie z bronioną tezą, nie mogło zaś mieć miejsca w marcu, jeśli byśmy przyjęli przeciwną, panów T. i X. Ciemność zaś barwy rogacza, którą p. T. epoce październikowej rui przypisuje, w najmniejszym nie pozostaje związku z odnośną przyczyną, będąc naturalnym wynikiem tych praw przyrody, które, ze zmianą materyi podlegającej zmianie paszy, powodują w całym zwierzostanie zmianę koszulki na zimę. Głoszona więc przez „Chasseur'a“ teza zostawszy tak łatwo obaloną, pozwala nie utrwalić się w pierwotnie wypowiedzianem zdaniu, z tem większem przeświadczeniem, iż pozostaje od początku

---

każde źdźbło trawy szukało schronienia. Zwierzyna leśna ma dużo kryjówek; gęstwiny, krzaki, zarośla, fosy, te małe leśne fosy, na których dnie jest woda, tak długo, jak deszcz pada.

Przyznam się, że byłabym wolała ukryć się w jednej z dziur takich, ale mój towarzysz kazał mi zostać z sobą na górze, chcąc mieć widok rozległy przed oczami. Zaledwieśmy się ukryli, myśliwi weszli do lasu. Oh! nigdy nie zapomnę tego pierwszego strzału w lesie, który podziurawił liście drzew, jak grad wiosenny, i poobrywał korę. Zając przemknął w poprzek drogi, wyrywając garście trawy swymi wyciągniętymi skokami. Z gałęzi spadła wiewiórka, strącając kilka kasztanów, dwa, czy trzy wielkie bażanty zerwały się ciężko do lotu, w gęstwinie drzew powstał szmer i niepokój, suche liście, poruszone pędem powietrza, zaszeleściały dołem, wszystko co żyło, podniosło się przestraszone. Mysz polna skryła się do swej dziury. Biegnący jeleń przystanął w krzakach, w których byliśmy ukryci, i swe piękne oczy wytężył nieruchomo, pełen lęku. A potem niebieskie jętki, pszczoły, motyle, zaroiły się dokoła, aż do najmniejszej muszki o skrzydełkach rdzawych, która schroniła się tuż koło mego dzioba, a której pełna trwogi chwycić nie śmiałam.

Stary mój towarzysz, był jak zawsze spokojny. Całą uwagę wytężoną miał na szczekanie psów i strzały myśliwych, gdy zbliżały się nadto, dawał mi znak, i posuwaliśmy się nieco dalej, skryci wśród liści. Raz, myślałam, że już jesteśmy zgubieni. Miejsce którędy musieliśmy przechodzić, było z każdej strony obstawione przez myśliwych. Z jednej strony stał wielki drab, z czarnymi faworytami, który za każdem poruszeniem brzękał swoim nożem myśliwskim, ładownicą, skrzynką do prochu, nie licząc sprzączek u wysokich butów, które zwiększały ten hałas; po drugiej stronie mały staruszek oparty o drzewo, palił spokojnie fajkę, przymykając oczy, jakby do snu. Ten nie wzbudził we mnie przestrachu; bałam się tylko tego wielkiego.

— Czy nie słyszysz nic, mała! — rzekł do mnie towarzysz, śmiejąc się; i bez najmniejszego lęku, rozłożywszy skrzydła do lotu, poleciał prawie pod same nogi strasznego strzelca z faworytami. I rzeczywiście, człowiek ten tak był zajęty śledzeniem polowania i obładowany przyrządami, że zanim pochwycił swoją strzelbę, już byliśmy daleko. Ah! Gdyby ci myśliwi wiedzieli! W tej chwili, gdy czują się zupełnie sami w zakątku lasu, ile małych oczu śledzi ich ru-

dyskusyi pod wspólnym znakiem, a w tak doborowem, myśliwskiem towarzystwie, jak panowie Sz. i Sok.

II. Sztucerki małokalibrowe.

W związku z powyżej wspomnianem zdarzeniem, zabicia rogacza w czasie niewątpliwej, sierpniowej rui z małokalibrowego-sztucerka Winchestera, pragnąłbym podzielić się z towarzyszami z pod znaku Ś-go Huberta, długoletniem doświadczeniem nabytem w tem kierunku. Dzisiejsza technika puszkarska doszła w tej dziedzinie do zdumiewającej prawie doskonałości, wysilając swe zadanie ku stworzeniu typu broni, odpowiadającej wszelkim warunkom, z których każdy oddzielnie zadawalniałby zupełnie myśliwego z przed 20-u laty. Celność, lekkość, trwałość, ostrość boju, dalekonośność, odrobienie i dopasowanie znakomite, możność ubicia przy stosownej zręczności od kaczora do rogacza, że nie wspomnę, całej rzeszy szkodników czworonożnych i pierzastych, jakie rolnik podszyty myśliwym, przy całodziennych wycieczkach w obrębie swych pól i kniei, ma łatwą sposobność do tępienia, wreszcie taniość. Cóż więcej wymagać można od broni, przeznaczonej, że się tak wyrażę, nigdy z rąk nie schodzić, którą się ze sobą zamiast laski, przy chodzeniu bierze, na konia przy objazdce gospodarskiej, do bryczki, do sanek.

Znam trzy rodzaje niezrównanych karabinków do codziennego użytku, którym niejedną miłą chwilę upojenia myśliwskiego zawdzięczam. Jednostrzałowe 6 m/m sztucerki „Francotte" wyrobu belgijskiego w Liége, takież „Buffalo" ze znanej francuskiej fabryki broni w St. Ettienne, oraz podług mnie, rekord w tej dziedzinie trzymające, automatyczne dziesięcio, a właściwie jedenastostrzałowe, amerykańskie sztucerki Winchester'a 22 kalibru, odpowiadające $5^1/_2$ m/m dyametru, które nasza Warszawska Spółka Myśliwska, świetnie przestrzelane, swym klijentom udziela. Podam w oświetleniu praktycznej „manipulacyi" charakterystykę każdej z tych broni w pierwotnie wymienionym porządku. Pierwszą, gdy się pojawiły, nabyłem w 1899 roku w znanym magazynie broni Weniga, w Petersburgu; broń ta była bardzo przykładną, bardzo celną przy strzelaniu małemi kulkami „Bosquet" na 60 kroków, zadawalniająca przy strzelaniu długiemi kulami francuskiemi „à longue portée" lub takiemiż ekspansywami na 100 i więcej kroków. Odznaczałe się niesłychaną trwałością, będąc u mnie przez 5 lat w codziennym użytku, a przeszedłszy od 4 lat na dziedzictwo małoletniego mego spadkobiercę, nie odznaczającego się wówczas zbytnią troskliwością o jej wygody, drzewne poduszki, jakoteż kolby pozostało nienaruszone. a tego lata jeszcze zawdzięcza jej bardzo ładny okaz siwej czapli; żadna śruba dotąd nie drgnęła, przypasowania poduszki, jakoteż kolby pozostało nienaruszone. Jako wadliwość, wymienić muszę ekstraktor, nie dość sprawnie czasem działający przy wyrzucaniu gilz od długich kul, oraz nieco kłopotliwe oczyszczanie zamka, łatwo się jednak wyjmującego.

„Buffalo", aczkolwiek tym ostatnim zarzutom nie podlega, mając przeciwnie, znakomicie skonstruowany ekstraktor oraz zamek niesłychanie prosto obmyślany, bez żadnego narzędzia pomocniczego, momentalnie w ręku rozebrać się dający, nie dorównywa innym zaletom Francotty, aczkolwiek ostrzej bije na dalekie dystanse. Jest przytem mniej celny, dzięki szwajcarskiej muszce jaką posiada, i mimo przywileju, jakim w swej ojczyźnie się cieszy, pozostawszy bronią oficyalną Towarzystw Strzeleckich we Francyi i Algierze, ma przytem nieprzyjemny sposób zabezpieczania, przy nieostrożności łatwo mogący nieoczekiwany wystrzał wywołać. Wytrwałość jego nie równa się też Francocie, dowodem czego, iż, gdy ta druga służyła mi wiernie przez lat pięć, od tej pory miałem trzy Buffala, ostatnie, „modèle de luxe" czyli najwyższej marki. Dezelują się, że tak powiem „rozklapują się" dość prędko, na czem cierpi celność strzałów, nie mniej, okaz ostatni, dozwolił mi zeszłego roku, oprócz innych szkodników, ubić 15 jastrzębi kuropatwiarzy, za co przecie, wdzięczne wspomnienie mu się należy.

Celnością odznacza się automatyczny Winchester 22 kal, a to pomysłowe urządzenie pozwalające raz po raz jedenaście kul wypuścić, ułatwia niezmiernie zabicie początkowo chybionej sztuki. Ostrość strzału fenomenalna. Kulki w niklowym pancerzu. Zabezpiecznik pewny i łatwo działający. Pies strzelony na 80 kroków, bierze kule na wylot, rogacz ruluje w ogniu. Bardzo przyjemny do polowania wodnego. Przy patronikach z bezdymnym prochem, strzał cichy nie płoszy zwierzyny; zdarzyło mi się strzelać na stawie do nura na bardzo daleki dystans kilka razy z rzędu, nim ostatnim go trafiłem i ptak okazywał tylko mocne zdziwienie wobec pocisków, jakimi był zasypany, nie przeczuwając niebezpieczeństwa. Dobry mój znajomy zabił z niego zeszłego roku wycinka na spotkaniu. Pomimo łatwości rozebrania momentalnego, zamek przylegający stale do kolby jest nieco trudny do gruntownego oczyszczenia, wskutek zakreślonych czynności automatycznych siłą oddania, mechanizm skomplikowany i eżektor niezupełnie odpowiedni wymaganej pracy, wskutek czego zdarza się, iż wystrzelona gilza nie zdąży być eżektowaną, gdy siła oddawcza wprowadza już nowy ładunek do kamery i następuje zamieszanie, któremu myśliwy musi zapobiedz, ułatwiając palcami zadanie eżektora. To są jego słabe strony, które jednak, wobec wysokich przymiotów, ustępować muszą. Broń to nieoce-

---

chy z krzaków, ile małych dziobków tłumi śmiech z powodu ich niezręczności.

Szliśmy coraz dalej. Jeszcze mam na oczach wszystkie miejsca, którędy musieliśmy przechodzić, sarnę, która przebiegła nam drogę, smukła, na swych nożkach cieniutkich, z oczami szeroko otwartemi, gotowa do skoku; potem polanka, pośrodku której gęsta olszynka tworzyła wyspę; na tej wyspie ukryliśmy się. Tu już psy nie mogłyby nas wyśledzić. Siedzieliśmy chwilę, gdy do wody przywlókł się duży kozioł, na trzech nogach, zostawiając na mchu za sobą długą wstążkę krwi. Nie mogłam patrzeć z żalu, ukryłam głowę w liściach; słyszałam jednak, jak zraniony pił wodę z kałuży, oddychając ciężko z gorąca. Dzień się kończył. Głosy strzałów oddalały się i stawały się coraz rzadsze. Potem wszystko ucichło. To był koniec. Cichaczem wróciliśmy na równinę, by dowiedzieć się nowin od naszych towarzyszek. Przechodząc koło małego domku, zobaczyłam rzecz straszną! Sarny o rdzawej sierci, szare zające z białymi ogonkami, leżały na brzegu fosy jedne na drugich. Ich małe nóżki złączone razem zdawały się żebrać litości, błędne oczy zdawały się płakać; a potem szare kuropatwy, ze śrótem w piersiach, jak mój towarzysz, i młode, jak ja, jeszcze z puchem pod skrzydłami. Niema nic smutniejszego, jak ptak zabity! Rozpięty, zimny, aż dreszcz bierze... Ogromny, piękny kozioł, zdawał się być uśpiony, mały, różowy język miał wysunięty, jak do lizania. A myśliwi pochyleni nad rzeźnią, rachując, podnosili w górę zwierzynę za broczące krwią nogi, za rozdarte skrzydła, bez żadnego poszanowania dla ich świeżej śmierci.

Oh! Gdy słońce chyliło się do zachodu, gdy odeszli wszyscy znużeni, wyciągając za sobą długi cień na ziemi i po ścieżkach wilgotnych, jakżeż ja ich przeklinałam, ludzi i zwierzęta razem!... Ani ja, ani mój towarzysz, nie mieliśmy odwagi pożegnać tego dnia, który się kończył.

Po drodze spotykaliśmy biedne, nieszczęśliwe zwierzątka, zranione przypadkowo, i zostawione mrówkom; myszy polne, z pyszczkami pełnymi prochu; sroki, jaskółki zabite w locie, leżące nóżkami do góry... a nad tem wszystkiem, zapadała szybko noc jesienna, jasna, zimna, wilgotna. A najbardziej rozdzierającem było słuchać tych rozproszonych, smutnych, lękliwych głosów, w gęstwinach lasu i na brzegu łąki, którym nikt nie odpowiadał.

Alfons Daudet.

niona dla myśliwego lubującego się w dalekich a celnych strzałach, zarówno polując w Karpatach na jarząbki z wabikiem, gdy i rogacza jednocześnie ubić można. Waga $6^1/_4$ funta, przy 20 calowej jego długości, czyni go na tego rodzaju polowaniu przy trudnym a męczącym terenie, niesłychanie „portatif“, myśliwy formalnie nie czuje, iż zamiast zabawki, nosi przy sobie broń, bądź co bądź, bardzo poważną. Reasumując więc przegląd owych trzech gatunków broni, Francotta jest niesłychanie mocną, zadawalniająco celną i przy cenie 35 rb., polecenia godną dla tych wśród strzelców, którzy nie obdarzając swej broni skrupulatną troskliwością, wymagają od niej długotrwałych usług.

„Buffalo“ zalecam ze względu na ostrość jego boju, nader prosty, a doskonały mechanizm, radzę jednak troskliwą otoczyć go pieczą, przy chęci zachowania w dobrym stanie, a przy kupnie, wypróbować dokładnie, który okaże się najprzykładniejszym.

Winchesterka zaś, jako swego ulubieńca, polecam kolegom myśliwym najgorręcej, a nie pożałują wydatku 55 rb. na broń, która im sprawi tyle przyjemności, ile żadna inna.

Zetce.

Konkurs wyżłów.

Przez szereg lat mieliśmy już czas oswoić się z tą rzeczywistością, że konkursy wyżłów, urządzane corocznie przez Warszawskie Towarzystwo prawidłowego myślistwa, bywają bardzo słabo uczęszczane przez właścicieli psów legawych lub treserów z profesyi, a porównanie z tego rodzaju próbami za granicą lub w Rosyi daje wynik bardzo niepocieszający. Przyczyny tego są bardzo łatwo zrozumiałe. Przedewszystkiem warunki naszych konkursów są dość surowe, domagają się bowiem — bardzo słusznie zresztą — doskonałej tresury, a nadto dają znaczną przewagę psom ras czystych, głównie zaś angielskim i niemieckim. Wzamian za to nagrody są w porównaniu z zagranicznemi lub rosyjskiemi bardzo niewielkie, najwyższa bowiem (w klasie I-ej psów angielskich) wynosi żeton złoty emaliowany, względnie 60 rubli. Tymczasem w kraju naszym psów rasowych jest bardzo mało, a i te, które mamy, nie odznaczają się widocznie po większej części rzeczywistemi zaletami polowemi. Jeśli z drugiej strony zważymy, że nizkość nagród powstrzymuje dalej od Warszawy zamieszkałych właścicieli psów, od kłopotliwego i kosztownego sprowadzania swych elewów na konkursy, to zrozumiemy, dlaczego te ostatnie budzą u nas na ogół bardzo słabe zainteresowanie.

Wątpimy jednak, czy Tow. praw. myślistwa, podwyższywszy znacznie nagrody, skłoni tem amatorów dobrych psów myśliwskich do przedstawiania swych elewów na konkursy, gdyby nawet pierwsze nagrody w klasie I-ej i II-ej podwyższono do 200 lub 300 rb. Przedewszystkiem, jak to poprzednio zaznaczyliśmy, doskonałych psów rasowych w kraju naszym prawie niema; a z drugiej strony wysokie nagrody w konkursach wyżłów są dobre w tych krajach, gdzie ceny psów myśliwskich są bardzo wysokie. Można dawać i 500 rubli nagrody w takich krajach, gdzie ceny psów dochodzą tysięcy rubli, jak np. w Rosyi, gdzie za championa, to jest psa odznaczonego najwyższemi nagrodami i na wystawach i na konkursach, właściciel łatwo osiągnąć może cenę dwóch, trzech a nawet i 8 tysięcy rubli. Lecz dać nagrodę 500 rubli psu, na którego właściciel z trudnością znajdzie nabywcę za 200 lub 300 rubli, byłoby wprost niekonsekwencyą.

Jak my wybrniemy z tego zaczarowanego koła, nie widzę sposobu. Jedynym może byłoby założenie w kraju naszym towarzystwa zwolenników psów rasowych, do którego wstąpiliby prawdziwi amatorowie polowania z legawcami, przedewszystkiem ludzie, którzyby nie traktowali tego jako interesu, lecz chętnie poświęcali na przepadłe dość znaczne składki, obracane na podniesienie hodowli dobrych psów rasowych w kraju naszym. Istnieje wprawdzie przy Warsz. Tow. praw. myślistwa Wydział hodowli psów rasowych, lecz do niego mogą należeć tylko członkowie Towarzystwa. Tymczasem prawdopodobnie poza Towarzystwem znalazłoby się wielu amatorów psów rasowych, którzyby chętnie poświęcili swą pracę i fundusze na cele podniesienia hodowli psów myśliwskich w kraju naszym.

Ten szereg refleksyj nasunął mi tegoroczny konkurs wyżłów, który się odbył w dniu 11 września r. b. na polach folwarku Służewiec. Do próby tej stanęło w oznaczonym dniu pięć wyżłów, które próbowano w porządku następującym:

1. „As“ — wyżeł niemiecki w pierwszem polu, własność p. Hermana Knothego.

2. „Ara“ — wyżlica niemiecka w pierwszem polu, również własność p. Knothego.

3. „Stop“ — pointer biały w żółte łaty, w pierwszem polu, własność p. Oskara Saengera.

4. „Bravo“ — pointer biały z rzadkiemi, kasztanowatemi plamami na łbie i uszach; pierwsze pole; własność p. Kmity.

5. „As“ — wyżeł typu pointera, żółty; pierwsze pole; własność p. Norberta Hermana.

Dzień do prób wypadł doskonały, chłodny i dostatecznie wilgotny, bez słońca. Teren, na którym próbowano: kartofle z bardzo bujnemi łęcinami, buraki, marchew i zżęta koniczyna.

Najlepszym z przedstawionych psów okazał się „Stop“ (z psiarni p. Woldemara Marr'a z Kijowa). Pies ten, posiadający górny i bardzo dobry wiatr, chody rozległe, ale galop dość krótki, a przytem bardzo dobrą tresurę, będzie niewątpliwie w przyszłości kandydatem do I-ej nagrody w klasie wyżłów angielskich. Brak mu jeszcze widocznie doświadczenia i dla tego w trudniejszych sytuacyach nie może sobie dać rady. Sędziowie przyznali „Stop'owi“ II-gą nagrodę (żeton złoty lub gotowizną 40 rb.), a nadto treserowi jego, p. Tayzlerowi — dyplom uznania.

Do pierwszej też klasy zaliczono pointera „Bravo“, prowadzonego przez właściciela, p. Kmitę. „Bravo“ posiada doskonałą tresurę, lecz wiatr dość krótki, a przytem bardzo powolny i zmudny sposób prowadzenia za cieknącemi kurami. „Bravo“ zdobył sobie III-ą nagrodę w klasie I-ej (żeton srebrny lub gotowizną 25 rb.); właściciel zaś jego i treser, p. Kmita, dyplom uznania. „As“ p. Norberta Hermana zakwalifiowany został przez sędziów do klasy III-ej, jako nieposiadający wybitnych cech pointera. Na próbie „As“ wykazał bardzo wiele temperamentu, chody dość rozległe, ale jednocześnie — wiatr dość krótki i brak jeszcze dostatecznej tresury (poszedł dwa razy za cieknącemi kurami i spłoszył je). Jest to pies, który w rękach bardzo spokojnego myśliwego może być dobrym psem roboczym. Sędziowie nagrodzili go nagrodą II-ą w klasie III-ej (żeton srebrny lub gotowizną 10 rb.). Z pozostałych dwóch psów tylko „Ara“ p. Knothego zdobyła list pochwalny.

Skład sądu stanowili pp. Jan Sztolcman (przewodniczący), Władysław January Starzyński i Bronisław Wysocki.

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Impala-Aepiceros.

Tej samej wielkości co antylopy Granta, a kolorem zbliżone do naszych sarn w lecie, zamieszkują pagórkowate i krzaczyste okolice, natomiast w stepach bezdrzewnych nigdy ich nie spotkałem. Wszędzie, gdzie przebywa jeleń wodny, można spotkać impale.

Fantastycznie zakrzywione, w kształcie liry, rogi impali, stanowią wielką atrakcyę dla myśliwego, a nieostrożna i roztrzepana ich natura łatwą zdobycz.

Samice rogów nie mają, młodym samcom wyrastają prawdopodobnie w drugim roku, odrazu długie, z charakterem tego gatunku, lecz cienkie, a potem z wiekiem grubieją i rozkładają się pod szerszym kątem; nigdy nie spotkałem młodych samców z krótkimi rogami. Widywałem stada po 30 do 60 sztuk, a stosunkowo mało samców; w największem stadzie napotkanem, było 5 rogaczy, tworzyły razem mały rudel, pasący się opodal samic, — i w ucieczce nie mieszały się z niemi. Nieraz samce przebywają bez towarzystwa.

Gdy kozioł zostanie ugodzony kulą, samice okazują wielkie zainteresowanie, zbliżają się do zabitej sztuki z wyciągniętemi szyjami, wydają odgłosy gardlane ch — ch — ch, potem odskakują na kilkadziesiąt kroków i da capo rozpoczynają ten sam manewr, zbliżania i odskakiwania, który trwa tak długo, aż coś naprawdę ich nie spłoszy, np. wyjście myśliwego z kryjówki. Spotkania z impalami połączone były z najdziwniejszymi epizodami myśliwskmi.

Pewnego razu zrobiłem dubleta do kozłów pasących się obok stada samic. Najpierw strzeliłem do stojącego w tyle rogacza, bo miał ładniejsze rogi; padł z dymem, choć był lekko trafiony, — potem do drugiego i także źle trafiłem, bo w szynkę. Po drugim strzale zwrócił się ów kozioł do leżącego na ziemi i zaczął bość go z furyą i taką zapamiętałością, że choć wysunąłem się z krzaków i samice uciekły, kozioł nie spostrzegł tego i stał na miejscu. Strzeliłem jeszcze dwa razy, ale tak nieszczęśliwie, że jedna kula chybiła zupełnie, druga trafiła wnętrzności. Po tym srzale, danym na bliższą już metę, oba kozły spostrzegły mnie i rzuciły się do ucieczki w różnych kierunkach. Ponieważ tuż po strzałach moich wysunął się duży jeleń wodny, spłoszony przez ludzi, rozpocząłem pościg za nim; postrzelone impale musiały czekać kilka godzin na „coup de grace“.

Innym razem ubiłem z rudla aż trzy kozły. Położenie było tego rodzaju, iż nie wydawało się prawdopodobnem, aby rudel dał się podejść. Stałem z ludźmi na małej wyniosłości skalistej, a przed nami rozciągała się równina pokryta niewysokiemi trawami, gdzieniegdzie tylko wyrastały małe krzaczki. Na równinie pasły się w odległości jednego kilometra impale i każdej chwili mogły nas zobaczyć, podchodzenie wydawało się z początku wprost śmiesznem. Przyszło mi na myśl podsuwać się do nich od strony tarczy słonecznej już zachodzącej, której promienie skośnie padające musiały zwierzęta oślepiać.

Manewr ten okazał się bardzo dobrým, przybliżyłem się na kilkdizesiąt metrów do stada, całkiem niepostrzeżony i stanąwszy za ostatnim krzaczkiem, oddzielającym od impali, strzeliłem do sztuki z największymi rogami. Kozioł zachwiał się i padł na ziemię, wierzgając. Samice w jednej chwili powyciągały szyje i ze wszech stron poczęły się zbliżać z typowem chrapaniem ch — ch — ch. To samo powtórzyło się, gdy padły inne dwa kozły z tego rudla. Gdyby chodziło o mięso lub skórki, możnaby było kilkanaście sztuk ubić jedną po drugiej. Innym razem wielkie stado, złożone z 60-ciu sztuk z jednym jedynym reprezentantem płci męskiej, pasło się u stóp stromej góry. Mój strzelec, który wdrapywał się na szczyt z drugiej strony w poszukiwaniu za tropami lwimi, spostrzegł impale i dał mi znać przez posłańca. Minęła godzina, nim stanąłem na szczycie. Teren był zewsząd otwarty i nie było mowy, aby módz tak wielkie stado podejść, kryjąc się w trawach; nagonka nie była także do zastosowania, bo nie mogła być wykonana kardynalna reguła, aby zwierzęta spostrzegły zdala na wszystkich punktach równocześnie zbliżających się ludzi.

Nie było również przezornem długo wyczekiwać i namyślać się, mieliśmy kilka godzin marszu do obozu, słońce miało już tylko jedną czwartą część drogi do odbycia po firmamencie, a w okolicy „pachło lwem“. Obrałem sposób najprostszy i zacząłem spuszczać się z góry wprost na impale, — a gdy dalsze schodzenie wydawało się niepodobnem, strzeliłem na dół przez lunetę, nastawioną na 200 m. i trafiłem impalę w miękkie części.

Strzał nie był zauważony, kozioł żachnął się, a nie widząc przyczyny bólu, zgarbił się tylko i odsunął od stada. Czekałem dobry kwadrans w nadziei, że postrzałek legnie, a tymczasem przyglądałem się gorączkowemu życiu stworzeń, niższego rzędu, w koło mnie brzęczących, skaczących i łażących.

Gdy jednak kozioł nie położył się, zacząłem dalej strzelać: drugi strzał chybił zupełnie, a trzeci trafił w kark i powalił impalę. Stado zaniepokoiło się i ruszyło powoli w daleki świat, roztaczający się przed memi oczyma, z początku w rudlu, potem rudel wydłużył się gęsiego, utworzył wstążkę, która długo wiła się, niby wąż czerwony między krzakami, malała, malała, aż znikła jako nitka, na krańcach horyzontu, dążąc do jej tylko znanych ostępów afrykańskiej ciszy. Było w tym widoku coś poważnego, tęsknego i obudziło we mnie też same uczucia. Myśl porzucając rzeczywistość, w dal uleciała, podobnie jak ta malejąca na widnokręgu żywa wstążka.

Pofu-Eland-Ellenantilope, Taurotragus.

Ciężkie te zwierzęta są największemi antylopami. Wzrostu naszych Simmentalerów i takiego samego koloru, z odcieniem jednak bardziej stalowym, niż bułeczkowym. Od grzbietu przez boki mają po kilka pręg bardzo delikatnych, białego koloru. Skóra ich jest nader cienka, włos delikatny i króciutki.

Obie płci obdarzone są jednakowymi rogami prostymi, wyrastającymi do góry w przedłużeniu linii czołowej. Są one czarne, w lekki gwint w około swej osi skręcone, u nasady grube, jak ręka ludzka, a u góry śpiczaste, połyskujące. Wszystkie sztuki, które widywałem, miały rogi około 70 — 80 cm. długie. Spotykałem je na pastwisku razem z Kongonianı, albo w odrębnych rudlach od 6-ciu do 12 sztuk, nie licząc młodych. Spłoszone nie zatrzymywały się nigdy, dla obejrzenia, jak to czynią wszystkie inne gatunki, lecz drałowały ciężkim truchtem lub prędkiem stępem, prosto przed siebie, kilka kilometrów, aż znikły z oczu.

Młode są ciemniejsze i trzymają się tak blisko matek, że najczęściej nie spostrzega się ich w trawach. Elandy przebywają na pastwiskach stepowych, bezdrzewnych lub z rzadkim drzewostanem, potrzebują wody i nie oddalają się zbytnio od niej. Zwierz ten postrzelony i następnie goniony zwraca się na prześladowcę i wtedy umie doskonale, mimo swego ogromu zaczaić się za małym krzaczkiem, aby raptownie wypaść.

Nie miałem osobiście takich spotkań, ale słyszałem o kilku wypadkach opowiadanych mi przez ludzi z mojej karawany, którzy odbywali już poprzednio ekspedycyę z myśliwymi.

Roan, Hippotragus, Pferdeantilope.

Spotkałem raz jeden tylko tę potężną antylopę, udało mi się podejść ją w wysokich trawach wieczorem i upolować.

Pierwsze wrażenie, które odniosłem, zbliżywszy się do zdobyczy, było podobieństwo do gemzy. — Kształt głowy, rozmieszczenie jaśniejszej i ciemniejszej sierści na głowie, a nawet rogi na pierwszy rzut oka przypominają gemzę.

Rogi są czarne, kabłąkowato w tył zakrzywione i karbowane. Sierść całego korpusu jest koloru myszatego, jaki bywa u koni, a przytem z pewnej odległości nabiera odcienia fioletowego. Czaszka, którą posiadam, dziwnie odróżnia się od innych gatunków raptownem załamaniem kości czołowej. — Roan nie jest zwierzyną powszednią w Br. E. A. Niektórzy Anglicy uważali moją zdobycz za rekord myśliwski. Po Elandzie jest Roan największa antylopa.

Gazelle Thomson i Dorkas.

Nomenklatura Thomson wzięta ze spisu „game shooting licence for settlers“ nie jest zgodną z nomenklaturą Brehma. — Nazwy Thomson nie znachodzę w Brehmie, nazywa ją Dorcas. — Trudno mi było dociec, czy chodziło tu o dwa gatunki gazell, czy też o jeden różnie nazwany. Thomsony są wielkości naszych sarn, lecz delikatniejszej budowy, trzymają się w małych rudlach nierozdzielnych i przebywają na stepach o niskiej trawie. Rogi mają pojedyńcze, czarne, u samca w tył nieco zagięte, grubsze i karbowane, u samic cieńsze, z mało widocznymi karbami i proste. Sierść koloru żółtego, ciemniejsza, niż u Grantów, z obu boków, duży pas czarny, zaczynający się na przedniej łopatce, a kończący na szynce. — Piersi, podbrzusze i tył białe. — Ogonek czarny, bardzo ruchliwy, w biegu wygląda jakby miał za zadanie podpędzać swego właściciela. Nie polowałem na te gazelle osobno, tylko przy okazyi, gdy innej zwierzyny zabrakło. Przy obławach na antylopy, po zacieśnieniu koła pogonki, gdy duże zwierzęta z niego już uszły, zaczynają wyskakiwać rudle gazell Thomsona i uderzają najczęściej wstecz lub lonżują. Gdyby można mieć nagonkę złożoną z kilkuset ludzi, gazelle wypłoszone zwróciłyby się na myśliwego, ponieważ jednak już w tak zwanem zaciśniętem kole, z którego duże antylopy dawno uciekły, człowiek od człowieka jest na kilkaset metrów oddalonym, nic dziwnego, że małe zwierzęta przelonżowawszy kilku ludzi, pierwszym lepszym otworem dostają się po za koło.

Podejście gazell w pojedynkę, jest trudniejsze niż podejście Grantów, niema bowiem na ich posterunkach tak wysokiej trawy, aby módz się ukryć. Przy samym końcu obławy, gdy pogonka jeszcze bardziej zacieśni koło, zaczynają wyskakiwać niby zające u nas, małe gazelle zwane:

Duiker-Cephalophus.

Są wielkości nowonarodzonej sarneczki, tak zgrabne jak one, i mniej więcej tego samego koloru bez centek. Wypłoszone rozpędzają się z całych sił, aby po chwili stanąć i rozglądnąć się. Mają małe różki czarne, kilka centymetrów wysokie, proste i cienkie, jak u młodego koziołka.

Gazelki te uchodzą najczęściej niespostrzeżone w trawach i krzaczkach z powodu swego lilipuciego wzrostu, a przytem mają dar chowania się w ucieczce za najdrobniejsze przedmioty.

Zebry.

Z okazów po menażeryach widywanych nie można mieć pojęcia, czem są zebry na stepach afrykańskich.

Na uwięzi nędznieją, maleją, włos blakuje, robią wrażenie zwierząt leniwych, ospałych, prędzej do osłów, niż do koni, podobnych, tymczasem zebry na wolności wyglądają jak konie rasy arabskiej, pełne życia, o włosie lśniącym i butnej postawie. Rysunek pręg jest w ogólnym wyglądzie jednakowy u wszystkich zebr, przy porównywaniu skór widzi się różnica. Oprócz dwóch kolorów, białego z czarnym, występuje kolor ciemno-żółty, jako przejście między pasami, ale nie zawsze. Zebra przebywa na stepach stadami, nieraz bardzo dużemi. W miejscach porośniętych drzewami, widywałem je pojedyńczo między antylopami; to są wyjątki. Czy zebrę można nazwać zwierzyną łowną? Mojem zdaniem nie, i aczkolwiek upolowałem w zapale myśliwskim w braku innej zwierzyny aż sześć sztuk, odczuwałem zawsze, post factum, pewien żal i nieprzyjemne uczucie.

Do tej pory, gdy przechodzę w pamięci epizody myśliwskie, zdobycz zebry nie sprawia mi miłej reminiscencyi. Mięso jej nie jest złem, krajowcy utrzymują nawet, że najlepszem „bo nie darmo lwy zjadają najwięcej zebr, chociaż mają tyle innych antylop do wyboru“. Podejść stado zebr w równym stepie jest niepodobnem, rozstawiają one zawsze warty, bardzo czujne, natomiast dają się łatwo nagonić na upatrzone miejsce, a takie polowanie jest najłatwiejsze.

W stepie, na którym rosną tu i owdzie drzewa lub klomby gęstych zarośli, dostać je można zręczniej. Podsunąłem się pewnego razu w południe do niewielkiego stadka na 40 metrów, maskując się krzakami. Zbliżałem się dla fotografowania, nie mając zamiaru strzelać! Dokonawszy zdjęcia, wysunąłem się powoli, z poza ostatniego zakrywającego mnie krzaku, wówczas stadko bez bojaźni, kłusem oddaliło się, a jeden duży egzemplarz, stojący na uboczu, w cieniu wspaniałej mimozy, prawdopodobnie warta lub przewodnik stadka, stał jeszcze dobrą chwilę z podniesioną głową, jakby zdziwiony, tak bliską aparycyą nieznanej postaci.

Na stacyi kolejowej w Voj, z której wychodzi droga karawanowa do misyi katolickiej Bura i dalej, obok Kilima Ndżaro, do prowincyj niemieckich, widziałem oswojoną zebrę, własność jakiegoś Greka, plantatora kawy, na stokach wyżej wspomnianej góry. Chciał ją sprzedać za 600 rupij, co odpowiada naszym 1.000 K.

Z tej okoliczności korzystając, oglądnąłem dokładnie zwierzę. Był to młody ogier trzyletni, złapany łoszęciem na stepie. Zachwalano, że miał dobrze chodzić w zaprzęgu i pod wierzchem. Jak na trzylatka, był już zamizerowany, za niski, o włosie nierównym, martwym, oku ponurem i wyglądzie złym. Liczne blizny i świeże rany na nogach i udach, a wytarte miejsca od sznurów na szyi, stały w jaskrawej sprzeczności z zachwalanymi przymiotami. Przyzwoite oddalenie, zachowywane przez ludzi, wskazywało, że kopytami, a może i zębami odpłacał się nieraz sowicie za swoją niewolę. W Br. E. A. są farmy rządowe, w których robią doświadczenia z zebrami, aby je uczynić dla ludzi pożytecznemi, dotychczas jednak nie wydały one poważniejszego, praktycznego rezultatu.

(C. d. n.)

LALIN.

(Dokończenie).

Nieprędko dowiozła mnie dorożka do tak zw. „Leśnego Zaułku“ i w końcu do mieszkania Lalina. Nieprędko też po kilkakrotnem szarpaniu dzwonka otworzyła mi drzwi jakaś zaspana i rozczochrana megera o zmiętej twarzy i w brudnym, wytłuszczonym przyodziewku nieokreślonego koloru i kroju. Zapytuję o panią Lalinową. „Ja nią jestem“ była odpowiedź. Mimowolnie pomyślałem: „chaque vilain trouve sa vilaine“ i dodałem w duchu „ładna lala“, a jednocześnie dodając, że bardzo mi jest przyjemnie, wręczyłem kartkę od męża. Po mozolnem odczytaniu kartki zapewniła mnie, że o żadnej broni nic nie wie i pierwszy raz słyszy o tem, że od miesiąca męża nie widziała i niema pojęcia, gdzie się on obraca, ale jest od dawna do tego przyzwyczajona, bo to jego zwyczaj przepadania całymi miesiącami bez wieści.

Nie miałem co tu dłużej do robienia i poprosiwszy o zwrot kartki, pojechałem z nią wprost do gmachu głównej buchalteryi syberyjskiej kolei, do Resza. Zastałem go w jego gabinecie i zacząłem, ma się rozumieć, od przeprosin i wyjaśnień, pokazując wczorajszą kartkę Lalina i pozostawiając ją na stole. Resz prędko przyjął wyraz swej zwykłej uprzejmości, ale na Lalina strasznie był zawzięty, mówiąc, że wszelkich starań dołoży, żeby go do kozy wsadzić, i płazem nie puści mu tego, jeżeli w jaknajkrótszym czasie broni mu nie zwróci.

Codziennie zrana przez kilka dni z rzędu odbywałem spacery na „rendez-vous" do słomianej wdowy i za każdym razem otrzymywałem jedną i tę samą odpowiedź: „jeszcze konduktora z bronią nie było".

Wreszcie na czwarty, czy piąty dzień z niemałem zdziwieniem zastaję u Resza w gabinecie, wyświeżonego, wyelegantowanego Lalina, wcale niepodobnego do tego leśnego, na pół dzikiego człowieka, jakim go widzieliśmy przez trzy dni w połowie listopada, w najlepszej komitywie rozmawiającego z Reszem. Co przed tem między nimi zaszło, nie wiem, dość że panowała widocznie harmonia między swobodnie gawędzącymi, przynajmniej pozornie. Broń była w całości zwrócona, a rozbrojony do reszty Resz, aż tak dalece udobruchał się potem, że w parę miesięcy później, nie wiem już dobrze, czy podarował ją Lalinowi, czy tylko do użytku na czas nieograniczony odał. O ile mi wiadomem było, Resz od dawna czynił starania i dążył do zaprowadzenia własnych psów „łajek" — szczekaczy, a to przy pomocy i współudziale Lalina tylko do skutku przyprowadzić się dawało, i to właśnie musiało być tą „force majeure", która, że tak powiem, pchnęła Resza w objęcia Lalina i która między tymi, tak różnymi pod każdym względem ludźmi, zadzierżgnęła potem węzeł, jeżeli nie przyjaźni, to w każdym razie sympatyi. Pozatem Lalin niejako odtrącony od towarzystwa myśliwskiego i niemyśliwskiego w Tomsku, był przez Resza poniekąd przygarnięty. Poza polowaniem i handlem psami w Petersburgu, a głównie w Moskwie, Lalin nie miał żadnych środków do utrzymania, a te były problematyczne i chwiejne, chociaż miał on zwyczaj i lubił mawiać: „je suis indépendant". Zkądinąd człowiek niegłupi, zupełnie inteligentny (bo bywają i inteligentni głupcy), znający języki i w razie potrzeby umiejący wszelkie formy światowe zachować, w tajdze Syberyjskiej, poprostu nieoszacowany jako prawdziwy „self made man", przedstawiał Lalin dziwny konglomerat dostatecznej dozy zalet, z daleko większą dozą wad, które czyniły z niego człowieka wykolejonego.

Zupełną słuszność miał Resz, mówiąc mi później o nim nieraz, że jest on sam dla siebie wrogiem i że nawet z tego samego przemysłowego polowania i handlowania psami mógłby on o wiele więcej zarabiać i nieźle się utrzymywać, gdyby to było przyzwoiciej i uczciwiej prowadzone.

Zdążając do końca tego opowiadania, napomknąć muszę, że Resz wogóle dla Lalina niemało robił dobrego; widocznie miał do niego poprostu jakąś słabość. Zobaczymy wkrótce, jak się za to Lalin swemu dobrodziejowi wywdzięczył. Nie wiem już, za jaką cenę udało się Reszowi dostać parę szczeniąt od Lalina od znakomitej jego „Łuszki" i sławnego „Miszki" na wiosnę 1905 roku. W grudniu 1906 roku został Resz awansowany na wyższą posadę do Zarządu Moskiewsko-Kurskiej-Niżegorodskiej i Muromskiej dr. ż., i przetranzlokowany zarazem do Moskwy. Pozostajemy z sobą w najlepszych, niemal serdecznych stosunkach i ma się rozumieć, korespondujemy stale. Oto co mi Resz pisze pod datą 9-go sierpnia 1907 roku z Moskwy:

„A teraz pogawędzimy o moich psach, które pozjadał (skuszał) Aleksander Mikołajewicz; rzecz się miała tak: przetranzlokowano mnie do Moskwy telegraficznie, czasu dla załatwienia interesów osobistych miałem mało i dlatego „Miszkę" i „Kolejkę" chciałem sprzedać w Tomsku; Lalin jednak uprosił mnie, abym tego nie robił, mówiąc, że w Moskwie w lutym będzie wystawa i że on sprzeda mi je tam za grube pieniądze, sam przy tem zarobi i ja otrzymam dwie lub trzy setki rubli.

Ponieważ Aleksandrowi Mikołajewiczowi dopomagałem pieniędzmi bezzwrotnie, więc pomyślałem tu: niech on zarobi sobie co może, przecie nie zawsze będzie oszukiwał bez końca. Prawdę mówiąc, żałowałem „Miszkę" niezmiernie („bez konca") i oddawałem go prawie ze łzami, gdyż pies ten mnie w zdumienie wprowadził w jesieni swojem szukaniem, wiatrem i zajadłością. Aleksander Mikołajewicz psy zabrał odemnie, przywiózł w lutym do Moskwy, „Miszkę" sprzedał księciu Urusowowi za 100 rubli, a „Kolejkę" do Carskiego Sioła hrabinie Tołstoj za 65 rubli, pieniądze włożył do swej kieszeni, a mnie nawet nie podziękował, a teraz szle listy, dlaczego ja zapomniałem o nim i nic mu nie piszę. Ale to nie wszystko, po sprzedaniu Urusowowi „Miszki", wziął psa dla dalszego prowadzenia; chciałbym wiedzieć, ile on jeszcze zedrze z niego za tę naukę.

Na wystawie Aleksander Mikołajewicz „Miszkę" nazwał „Sokołka" i na anszlagu napisał, że on pochodzi od własnych jego psów, „Kolejce" dali mały srebrny medal. Tu w Moskwie patrzą na Aleksandra Mikołajewicza tam, gdzie go znają, jak na błazna i przytem bardzo niedobrego człowieka, jego imię jest synonimem łajania („rugatielstwa"). A przecie gdyby on był porządniejszy („poriadocznieje"), gdyby się pozbył fanfaronady, fałszywości, sztucznego zadzierania nosa, pyszałkowatości („chałujskoj ważnosti") i kleptomanii, mógłby przyzwoicie utrzymywać się, jako komisyoner w handlu zwierzyną, skórami, futrami i psami, ale teraz wszystko stracił, nikt mu w niczem nie wierzy".

Oto jest, rzec można, dość powściągliwa jeszcze charakterystyka Lalina. Dżentelman Resz, chociaż padł ofiarą szalbierstw Lalina, nie wypowiedział wszystkiego; tego dla dokładnej, uzupełniającej charakterystyki jeszcze za mało. O tym jegomościu, gdybym chciał wszystko, co o nim słyszałem, opisywać, możnaby jeszcze drugie tyle napisać i jak to mówią, na wołowej skórze nie spisać, co już nie wchodzi w zakres tego opowiadania, gdyż za zadanie wziąłem sobie poboczne zaznajomienie czytelników „Łowca Polskiego" ze sławetną osobistością Lalina z tego tylko, czego naocznym, przypadkowym byłem świadkiem.

O sobie śmiało mogę powiedzieć, że z obcowania przez trzy dni z Lalinem, tym „esprit mal tourné" wyszedłem obronną ręką. Ustrzegła mnie od tego rezerwa i baczność moja, które względem niego, pomnąc na przestrogi Resza, cały czas zachowywałem.

Chociaż dziwnem to może się komu wydać, że pomimo dawanych mi przestróg, Resz sam padł ofiarą szachrajskich operacyj Lalina, jednak tak było w rzeczywistości, czego dowodem najlepszym jest przytoczony list Resza. Zachowanie się Lalina, jak to później uświadomiłem sobie, podczas polowania przy obu barłogach, było nieco nienormalne, a szczególnie było ono dziwne przy drugim barłogu i niedźwiedziu. Może mylę się, ale zdaje mi się, że te kule prosto we łbie nad okiem niedźwiedzia, lokowane musiały być przy pomocy owych „krzyży", co zważywszy na znakomite psy Lalina, zawsze z łatwością i bez żadnego ryzyka osiągnąć można było. Zauważyłem w nim bowiem sztucznie maskowane tchórzostwo. Wobec takich brzydkich cech Lalina i jego niezliczonych sztuczek łotrowskich, które niejako stały się treścią jego życia i poniekąd historycznemi w Tomsku, łatwo teraz zrozumieć ogólne oburzenie na niego nietylko tych wszystkich, którzy go znali, ale nawet stronienie przy zetknięciu przypadkowem i tych, którzy słyszeli cokolwiek o nim. Nie bez racyi tedy pisze Resz, że nawet w Moskwie imię Lalina stało się synonimem połajania.

Gdyby komu przyszło na myśl zrobić mi zarzut z tego, że jednak osobiście mnie Lalin nietylko nic złego nie zrobił, lecz przeciwnie — dając możność wzięcia udziału w nadzwyczaj ciekawem i rzadkiem obecnie polowaniu na niedźwiedzia w barłogu, dał tem ogromną, jako dla myśliwego przyjemność, wobec tego wszystko, co o nim napisałem, staje się z mojej strony czarną niewdzięczno-

ścią, to na to odpowiem: opisując tak wielce ze wszechmiar ciekawe dla czytelników „Łowca Polskiego“ polowanie, nie mogłem pominąć głównej osoby tego opowiadania, niejako jako bohatera t. j. Lalina, a mówiąc o nim nie mogłem znów przedstawić go w innem świetle, jak w tem, w jakiem on się w rzeczywistości przedstawia i w jakiem jest znany i popularny w całej tomskiej gubernii. Gdy dodam do tego zasadę, którą w każdem opowiadaniu swojem zwykłem kierować się, a mianowicie, tylko prawdzie dawać miejsce, to śmiem sądzić, że będę w oczach łaskawych czytelników moich wytłómaczony. Dawniej nie decydowałem się podawać niniejszego opowiadania dla szerszego ogółu, aż do dnia, w którym otrzymałem list Resza z dnia 9-go sierpnia zeszłego roku. Oburzenie we mnie od tej chwili wezbrało; ten list ostatecznie usuwając resztki skrupułów, jakie jeszcze miałem, zdecydował mnie nietylko do skreślenia wszystkiego tego, co tu umieściłem, ale i do dania tytułu „Lalin“ swemu opowiadaniu.

Przecławski.

Tułun (gub. Irkucka) w lutym 1908 r.

Z Litwy i Rusi.

Kijowskie Towarzystwo myśliwskie urządza w Kijowie w lutym roku przyszłego (1909) wystawę myśliwską.

W listopadzie z inicyatywy kijowskiego Towarzystwa miłośników przyrody, otwarta będzie w Kijowie wystawa ptactwa domowego i gołębi. W czasie wystawy mają się odbyć wyścigi gołębi pocztowych.

W Kijowie zorgnizowało się Towarzystwo myśliwskie. Charakterystyczne i znamienne jest to, iż władze kijowskie, zatwierdzając statut tego Towarzystwa, zrobiły zastrzeżenie, iż w skład członków Towarzystwa mogą być dopuszczane tylko osoby prawosławne, pochodzenia rosyjskiego. Skutkiem starań prezesa Tow. myśliwskiego, p. Kuczyńskiego, ministeryum spraw wewnętrznych nieco złagodziło powyższe zastrzeżenie, pozwalając przyjmować na członków „inowierców“ i „inorodców“ jako gości stałych, bez prawa głosu decydującego.

Do Wilna przywieziono z pow. maryampolskiego rzadki okaz rogu wielkiego żubra przedhistorycznego, który ocalał dzięki rozsądniejszym włościanom, rolnikom miejscowym. Zaopiekował się zabytkiem p. Pakieturys, właściciel księgarni litewskiej w Wilnie, który nabył róg i ofiarował go tworzącemu się Towarz. wzajemnej pomocy litwinów wileńskich. Róg, a właściwie móżdżkowa jego część ma około półtora łokcia długości. Widocznie natrafiono na szczątki ogromnego żubra kopalnego, gdyż obok prawie znaleziono przedtem inny takiż róg, przez nieświadomych zniszczony, teraz zaś natrafiono, oprócz rogu, na kości rozmaite, także od żubra pochodzące; odkrycia dokonano w torfowisku, gdzie w zamierzchłej przeszłości miało być jezioro.

Policya wileńska zaprowadza przy swoim wydziale śledczym oddział psów do tropienia przestępców. Dokonano już pierwszej próby. W tym celu wzięto chłopca z przytułku noclegowego, kazano mu ukryć się w lesie na wierzchołku drzewa, poczem psy, znajdujące się cały czas na uwięzi, puszczono. I oto po 5 minutach wykryły one domniemanego złodzieja. Doświadczenie powtórzono kilkakrotnie, zawsze z tym samym skutkiem. Następna próba polegała na odszukaniu rzeczy, schowanych w lesie. I to zadanie psy spełniły doskonale.

Znany badacz przyrody, p. Lebiediew przy pomocy licznych robotników odkrywa różne wykopaliska. Między innemi znaleziono na dnie rzeki Soży kość strożytnego tura, czy też innego jakiegoś byka dzikiego. Bądź, co bądź, musiał być to zwierz — olbrzym. Panu Lebiediewowi udało się dotąd wydostać tylko jedną ogromną łopatkę. Reszty kości nie wydobyto, dla braku odpowiednich funduszów. Warto byłoby, żeby wykopaliskami zainteresowało się wileńskie „Tow. Przyjaciół Nauki“.

WILKI.

W ostatnich czasach wilki dały u nas i w Cesarstwie znowu znać o sobie:

Na Kujawach w zagajnikach pod Michałowem pojawiły się wilki. Dotąd są tylko trzy, szkód nie robią, widocznie apetyt zaspakajają królikami, których w pomienionych zagajnikach znajduje się ilość znaczna. Właściciel zagajnika nie utyskuje na obecność tych czworonożnych gajowych, którzy są postrachem amatorów na drzewo. Pomimo to, ma się na owe bestye wkrótce odbyć obława. Wspomniane wilki przybyły zapewne z Brzezia, gdzie podczas obławy zabito tylko jedną sztukę.

W d. 23 sierpnia w pow. Lepelskim w puszczy Nowińskiej, należącej do rozległych dóbr Wincentego Wołodkowicza z Iwańska, przy udziale kilkudziesięciu strzelców z pośród miejscowego obywatelstwa, administracyi iwańskiej, oraz okolicznych włościan, odbyło się polowanie na wilki. Zabito jednego t. zw. „piastuna“, oraz 5 młodych. Rezultat byłby lepszy, gdyby podczas obławy używano ognia dla straszenia szkodników i rozpoczęto polowanie wcześniej, czem nie danoby możności starym wilkom wyjść z kniei na żer.

W dniu 8 sierpnia w olbrzymich lasach otaczających Druskienniki, w kniei Pajcierskiej, odbyło się polowanie na wilki. Zabito dwie olbrzymie sztuki i pięć małych. Rezultat zapewne byłby jeszcze lepszy, gdyby podczas obławy używano, jak zwykle ognia, dla straszenia drapieżników, czego jednak wobec panujących upałów z obawy pożaru, nie czyniono. Natomiast postanowiono urządzić drugą obławę we wrześniu, do której zapisało się już wielu myśliwych amatorów, aby korzystać z możności uczestniczenia w niezwykłych łowach.

W dniu 30 sierpnia, koleją mikołajewską przywieziono do instytutu medycyny doświadczalnej w Petersburgu ośmioletniego chłopca nazwiskiem Kryłow. Chłopiec ten z dwoma rówieśnikami zbierał w lesie grzyby i jagody w pobliżu st. Padomenia. Niespodziewanie chłopców otoczyło 8 wilków. Jeden z nich rzucił się na Kryłowa i pokąsał mu głowę, ręce i nogi. Na ciele chłopca znaleziono 26 ran. Dwaj inni chłopcy zdołali cało wyjść z tej przygody.

W d. 10 października w lasach rządowych leśnictwa wiłkomirskiego w pobliżu miasteczka Szymańce odbędzie się doroczna obława na wilki, w której wezmą udział i ziemianie z powiatu. Co rok podczas obławy pada kilkanaście szkodników.

BOCIANY.

O bocianach głośno było w ostatnich czasach w prasie polskiej i zagranicznej. Podajemy garść ciekawych wiadomości o tych drapieżnikach.

W niedzielę d. 16 sierpnia około godziny 4-ej po południu w Będzinie obserwowano przelot olbrzymiego stada bocianów. Zdaje się to wróżyć wczesną zimę.

Jeden z obywateli ziemskich w Galicyi, mieszkający na granicy powiatów rawskiego, cieszanowskiego i jaworowskiego, opisuje niezwykły odlot bocianów, jakiego świadkiem był niedawno w swym majątku. Około go-

dziny 2 po południu nadciągnęła taka chmara bocianów od północnego zachodu, że zajęła klkadziesiąt morgów pola, pastwisk, łąk i zboża na pomieci albo na pokosach. Zasiadły tu, bo właśnie z przeciwnej strony nadciągnęła ulewna burza, którą zmuszone były przeczekać. Niezwykłe to wydarzenie przedstawiało także niezwykły obraz wspaniały, bo jak okiem sięgnąć, przestrzeń cała zabielała od tej nizliczonej rzeszy.' Takiego mnóstwa bocianów nikt w jednej kompanii nie widział, ani o niej słyszał. Aby mniej więcej dać porównanie o ilości, można powiedzieć, że na każdym kwadratowym sążniu był jeden bocian. Rzesza ta, obsuszywszy się, poczęła około godziny 6-ej wzlatywać do dalszej podróży. Prawdopodobnem jest, że ogromna ilość tych bocianów pochodzi ze stron i okolic, dotkniętych klęską zalewów, że klęska ta dotknęła ogromną przestrzeń i że spadła niespodzianie, bo rzesza była przestraszona, w popłochu uciekająca i smutna. Nie odezwał się ani jeden klekot, który zwykł towarzyszyć każdemu normalnemu pochodowi, a stanowiący niejako sygnał uporządkowanej wędrówki. Milczenie to było najwybitniejszym dowodem doznanej klęski.

Z Jordanowa donoszą do pism krakowskich: W tych dniach pojawiły się nad Jordanowem trzy wielkie stada bocianów. Krążyły one przez czas dłuższy, poczem połączyły się w olbrzymią gromadę i podążyły w stronę Tatr. Nagle silna ulewa zniewoliła je do powrotu z obranego kierunku i przemoknięte od deszczu, opadły na jordanowskie pola. Miejscowi chłopcy pochwycili kilka sztuk i u dwóch bocianów znaleźli metalowe skówki. Są to odznaki stacyi ornitologicznej Rositten w Prusach wschodnich, umieszczone na różnych ptakach dla badania kierunków ich podróży.

Ciekawą notatkę podaje w kronice „Kur. Pozn.“ p. t. „Bocian złodziejem“. Pewna gospodyni pod Piłą pracując w polu, położyła swe pończochy oraz czapkę swego synka na kupę zboża. Wieczorem zdziwiła się niemało, gdyż przedmioty te znikły. Gdy przyszła do domu, zauważyła, iż pończochami i czapką bociany ustroiły swe gniazdo, znajdujące się na stodole.

W miejscowości Szwabmünchen w Niemczech, byli mieszkańcy świadkami niezwykłego widowiska. Oto na jeden dom przedmieścia zleciała cała rodzina bociania, pragnąc się widocznie tam osiedlić, czy też wskutek jakiegoś nieporozumienia lub przestępstwa zmuszoną była wyemigrować z bocianiego społeczeństwa i gdzieindziej szukać sobie „ogniska domowego“. Tym też sposobem owe bociany zagościły do Szwabmünchen. Lecz co najdziwniejsze, wszystkie odznaczały się tem, że nie spożywały ani żab, ani robaków, co jest zwykłem pożywieniem tego ptactwa, lecz zaraz pierwszego dnia po przybyciu zjawił się, ku osłupieniu mieszkańców, głowa rodziny bocianiej, stare bocianisko na ulicach i począł chodzić od domu do domu i głośnem klekotaniem żebrać o jałmużnę. Że zaś jak w domu zawsze są rozmaite odpadki mięsa i t. d., dawano to bocianowi, który gdy się sam dobrze najadł, resztkę zabierał do dzioba i odlatywał do swego gniazda, przynosząc jadło reszcie rodziny. Pierścienie na nogach wskazywały, że niegdyś musiał być więźniem, wyrwał się tylko z niewoli, lecz zachował w sobie oswojenie i nie obawiał się już ludzi. Żebraninę tę wykonuje on codzień, a ludziska wspierają tego także w swoim rodzaju żebraka.

Jako uzupełnienie obserwacyj co do tegorocznego, masowego przelotu bocianów podajemy fakt, zakomunikowany nam świeżo przez p. Michała Siemiradzkiego, znanego myśliwego. P. Sieramiradzki obserwował w majątku swoim Rozalin pod Łochowem (powiat węgrowski) w d. 16 sierpnia tak olbrzymie stado bocianów, jakiego jeszcze nigdy nie widział, a które w przybliżeniu oblicza ma 5 do 6 tysięcy sztuk. Przodem leciała olbrzymia, zwarta masa ptaków, a za nią ciągnął się węższy ogon, na jakie 2 wiorsty długi. Zwracamy uwagę, że stado powyższe obserwowano 16 sierpnia, to jest tego samego dnia, kiedy widziano olbrzymie stado w Będzinie. Z tego wnosić można, że masowy przelot bocianów wypadł w różnych miejscowościach jednocześnie.

Strzelanie do gołębi.

Ożywiło się na placu Koła Sportowego. Sportsmeni po letnich wczasach powracają do kraju i śpieszą na miłe *rendez-vous* na stendzie.

Pierwszy dzień programowego strzelania przypadał 13 b. m., to też zgromadził się spory zastęp strzelców na placu, pragnących spróbować swojej sprawności strzeleckiej. Niestety, dzień był niepogodny, dżdżysty, stanowił więc ponure tło do rozegrania pierwszej sezonowej nagrody, przeznaczonej dla strzelców, którzy jeszcze nie zdobyli żadnej nagrody na naszym stendzie. Była to więc nagroda w rodzaju pocieszenia, a zarazem zachęty, ofiarowana przez p. Henryka Zandbanka, bardzo czynnego członka Komitetu Koła Sportowego. Szczęście — ten najważniejszy czynnik powodzenia na każdem polu — uśmiechnęło się p. Antoniemu Wolskiemu, który zrobił seryę z 6 gołębi. Drugą nagrodę wziął p. St. Zaborowski. Nagrody stanowiły piękne żetony: złoty i srebrny.

Rozpatrując się szczegółowo w rezultatach strzelania z dni ubiegłych, zauważyć należy, że nasi stendowi strzelcy dochodzą już do bardzo pokaźnych seryj. Jeśli weźmiemy sprawozdanie z d. 30 sierpnia i zliczymy np. gołębie zabite w trzech pulach przez hr. H. Platera, to okaże się, że zrobił on seryę z 22 gołębi, a dopiero 23-go chybił. W sprawozdaniu zaś z 13 września widzimy, że p. Jan Głuski, biorąc udział w trzech pulach, był zawsze pierwszym i zabił 38 gołębi rzędowych, strzelając wogóle tego dnia bez pudła. Poważny to kandydat do championatu.

Przy sposobności zaznaczamy, że Komisya poczyniła pewne zmiany w programie dalszego strzelania do gołębi. Kasując wszystkie dotychczasowe programy, ogłasza, że we wrześniu i październiku strzelanie dla rozgrywania pul i matchów odbywać się będzie w dniach 20, 24 września, 4, 11, 14, 18, 22, 25 i 29 października. Najbliższe nagrody zaś rozegrane będą:

nagroda „Plinksz“, przedmiot ofiarowany przez Olgę hr. Ilinską-Kaszowską, wpis 6 rb., 1 gołąb, 28 m., 17 września, g. 2 pp.

nagroda „Brwinowska“, wpis 5 rb., 8 gołębi, w tem 6 rzędowych, 27 metrów, 22 września, g. $1^1/_2$ pp.;

nagroda ofiarowana przez Jana bar. du Puget-Puszeta, wpis 10 rb., 4 gołębie parami bezpośrednio po sobie strzelane, nie mniej 10 strzelających; 24 metrów; rozstrzeliwanie na 26 metrów; na I nagrodę potrzebne dwa dublety, na II i III wymagany jest jeden pełny dublet. Pierwszy strzelec żeton złoty i $30^0/_0$ stawek, drugi żeton i $30^0/_0$, trzeci żeton i $15^0/_0$. Jeśli rezultaty powyższe nie będą osiągnięte, strzelcy rozpoczną kolejkę na warunkach tych samych, lecz bez ponownego wpisowego, 30 września, g. $1^1/_2$ pp.;

nagroda „Mławki“ ofarowana przez p. Tadeusza Mostowskiego, wpisowe 5 rb., 5 gołębi, wtem 4 rzędowe, handicap, rozstrzeliwanie na 30 m., żetony złoty i $30^0/_0$, srebrny i $30^0/_0$, 1 października, g. $1^1/_2$ pp.;

nagroda „Championat“ na 25 gołębi, z tych 10 na 26 m. i 15 na 27 m., wymagane 22 zabite, w tem 10 rzędowych. Wpis 10 rb. Bez 12 strzelców niema championatu. Nagrody: I medal złoty i $50^0/_0$, II medal srebrny i $25^0/_0$, 6 i 7 października, g. 1 pp.

Z placu.

Dnia 30 sierpnia.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rb. Pierwszemu $50^0/_0$, drugiemu $25^0/_0$.

Pp. Antoni Wolski 24 m. $^6/_6$, Tadeusz Mostowski 27 m. $^6/_6$. Rozgrywali się w następnej puli, przyczem p. Wolski wziął I, a p. Mostowski II nagrodę.

Przyjmowali udział pp. Kazimierz Jasiński, hr. Henryk Plater, Stefan Zabłocki i Teodor Jankowski.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rub. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%, pp. hr. Plater 24 m. 15/15, Ant. Wolski 24 m. 14/15.

Przyjmowali udział pp. T. Mostowski, Stefan Zabłocki, T. Jankowski, K. Jasiński.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 5 rb. Pierwszemu 50%, drugiemu, 25% pp. Antoni Wolski 24 m. 7/7, Stefan Zabłocki 26 m. 6/7.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater, K. Jasiński, T. Jankowski.

Pula dubletowa na 24 m. 3 dublety. Wpis 10 rb. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%.

Pp. T. Jankowski 5/10, Stefan Zabłocki 5/10 — podzielili się nagrodami.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater i K. Jasiński.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 5 rb. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%.

Pp. Jan Głuski 26 m. 3/3, hr. H. Plater 2/3.

Przyjmowali udział pp. hr. Józef Plater-Zyberk, Tadeusz Sieheń, Ant. Wolski.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rb. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%.

Pp. Ant. Wolski 24 m. 7/7, Jan Głuski 26 m. 6/7.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater, hr. Józef Plater-Zyberk, T. Sieheń.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rb. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%.

Pp. hr. Józef Plater-Zyberk 26 m. 9/9, Jan Głuski 26 m. 8/9.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater, K. Jasiński, T. Sieheń, Ant. Wolski, Jan br. du Puget-Puszet, hr. Witold Skórzewski.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Wpis 5 rb. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%.

Pp. Jan Głuski 26 m. 12/12, hr. Wit. Skórzewski 26 m. 11/12.

Przyjmowali udział pp. K. Jasiński, hr. H. Plater, hr. Józef Plater-Zyberk, Ant. Wolski, Jan br. du Puget-Puszet, T. Sieheń.

Pula dubletowa na 24 m., na 3 dublety. Wpis 10 rb. Pierwszemu 75%.

Hr. Henryk Plater 9/10.

Przyjmowali udział pp. hr. Józef Plater-Zyberk, Jan Głuski, hr Wit. Skórzewski.

Pula dubletowa na 23 m., na 3 dublety. Wpis 10 rb. Pierwszemu 75%.

Hr. Wit. Skórzewski 6/8.

Przyjmowali udział pp. hr. Józef Plater-Zyberk, hr. Henryk Plater.

Dnia 6 września.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 3 rb. Pierwszemu 75%.

P. Ant. Wolski 24 m. 7/7.

Przyjmowali udział pp Jan br. du Puget-Puszet, St. Zaborowski, Leon Dzięgielewski.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Wpis 5 rb. Pierwszemu 75%.

P. Jan br. du Puget-Puszet 4/5.

Przyjmowali udział pp. St. Zaborowski, Ant. Wolski, Leon Dzięgielewski.

Pula dubletowa na 24 m., na 2 dublety. Wpis 3 rb. I—50%, II—25%.

Pp. Leon Dzięgielewski 6/8, St. Lilpop 5/8.

Przyjmowali udział pp. br. du Puget-Puszet, St. Zaborowski, Ant. Wolski.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%.

Pp. Stanisław Lilpop 27½ m. 5/5. L. Dzięgielewski 25½ m 4/5.

Przyjmowali udział pp. Henryk Lilpop, St. Zaborowski, br. du Puget-Puszet, Ant. Wolski.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%.

Pp. Leon Dzięgielewski 25½ m. 3/3, H. Lilpop 27 m. 2/3.

Przyjmowali udział pp. St. Lilpop, Ant. Wolski, Jan br. du Puget-Puszet, St. Zaborowski.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%.

Pp. H. Lilpop 27 m. 8/8, Leon Dzięgielewski 25½ m. 7/8.

Przyjmowali udział pp. St. Lilpop, St. Zaborowski, Antoni Wolski.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%.

Pp. Ant. Wolski 25 m. 7/7, Jan br. du Puget-Puszet 27 m. 6/7.

Przyjmowali udział pp. St. Zaborowski, Leon Dzięgielewski, H. Lilpop, St. Lilpop.

Dnia 13 września.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 3 rb. I—50%, II—25%.

Pp. Jan Głuski 26 m. 16/16, Ant. Wolski 25 m. 15/16.

Przyjmowali udział pp. L. Dzięgielewski, hr. J. Łubieński, hr. H. Plater, hr. J. Skarbek, Jan br. du Puget-Puszet, St. Lilpop i St. Zaborowski.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Wpis dowolny (optional).

Pp. Jan Głuski 26 m. 5/5 (32 rb. 50 k.), Ant. Wolski 26 m. 10/11 (20 rb).

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater, St. Zaborowski, hr. K. Skarbek, St. Lilpop, L. Dzięgielewski, Jan br. du Puget-Puszet, hr. J. Łubieński, hr. J. Skarbek.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 5 rb., I—50%, II—25%.

Pp. Jan Głuski 26 m. 17/17, Ant. Wolski 26 m. 16/17.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater, hr. J. Skarbek, hr. Jan Łubieński, St. Lilpop, hr. K. Skarbek, St. Zaborowski.

Nagroda Zachęty dla strzelców, którzy nie wygrali żadnej nagrody na stendzie Warszawskiego Koła Sportowego. 25 m.—3 rzędowe gołębie. Wpis 5 rb. I—złoty żeton i 30%, II—srebrny żeton i 30%.

Pp. Ant. Wolski 6/6, St. Zaborowski 5/6.

Przyjmowali udział pp. L. Dzięgielewski, hr. Jan Łubieński, St. Lilpop, hr. H. Plater, hr. J. Skarbek, hr. K. Skarbek.

Drobiazgi myśliwskie.

Stan kuropatw w r. b. w różnych miejscowościach kraju okazał się bardzo rozmaity. Rezultaty polowań z wyżłem wypadają wogóle wcale nie pokaźnie. W żadnym razie r. b. do urodzajnych pod względem przybytku kuropatw zaliczyć nie można. W niektórych miejscowościach kuropatwy wyginęły prawie zupełnie wskutek wiosennych chłodów i deszczów. Przytem i ubiegła zima śnieżna, wpłynęła ujemnie na przezimowanie starek. W majątkach, gdzie zapomniano w zimie o zwierzynie, kuropatwy, chociaż z roku zeszłego, pozostały w obfitej ilości, zniknęły; gdzie je żywiono, — przezimowały niezgorzej. Są wreszcie okolice, w których jakoś złożyły się wszystkie warunki pomyślnie i tam kuropatwy nieponiosły żadnego szwanku i rozmnożyły się normalnie. Na dzierżawach Tow. praw. myślistwa, położonych w dwóch miejscowościach, rezultaty są również różne. Na terenach osieckich stan kuropatw okazał się niezły, ale w żadnym razie nie dorównywa on zeszłorocznemu; natomiast na terenach Miedzeńskich kuropatw jest mało. Wyniszczyły je wiosenne deszcze i letnie nawałnice.

Nieścisła informacya. „Przegląd Poranny" w jednym z ostatnich numerów czyni Warszawskiej Spółce Myśliwskiej wyrzuty, że używa do ładunków gilz niemieckich i nabitych prochem niemieckim „Walsrode." Wygląda to tak, jakby Spółka miał wyłącznie gilzy niemieckie i między innemi prochami nabijała je i prochem niemieckim. Tymczasem tak nie jest. Warszawska Spółka Myśliwska wcale nie ma gilz niemieckich. Używa ona do robienia ładunków gilz z fabryk: rosyjskiej i rosyjsko-belgijskiej w Moskwie a prochu z fabryki „Sokół". Polskich gilz używać nie może z tej prostej przyczyny, że u nas w kraju niema fabryki gilz zupełnie. Dopóki była w Warszawie fabryka „Union", dotąd w magazynie współki zawsze tych gilz dostać było można, ale fabryka ta, jedyna u nas, od lat paru nie istnieje. Po za fabrykami z Cesarstwa, Spółka sprowadza angielskie gilzy Eley'a w znacznej ilości, jest bowiem wielu myśliwych, którzy innemi, jak eleyoskimi ładunkami strzelać nie chcą. Ale jest też pewien, zresztą bardzo nieliczny zastęp myśliwych, którym się wydaje, że tylko ładunkami Walsrode mogą bić zwierzynę. Mylne to mniemanie, bowiem proch ten nie ma żadnych zalet nadzwyczajnych, przeciwnie, fatalnie oddziaływa na stan broni, którą zanieczyszcza i niszczy ogromnie. Otóż dla tych szczególnych amatorów nietylko magazyn Spółki, ale wszystkie znaczniejsze magazyny broni zawsze mają pewną, niewielką ilość ładunków z prochem Walsrode. Zapewne, lepiej byłoby, gdyby ich nie sprowadzały wcale, ale to samo przez się przyjdzie, jeśli myśliwi wyrzekną się manii strzelania tym prochem.

Tak się przedstawia sprawa owych niemieckich gilz i prochów w świetle prawdy niezabarwionej żadną tendencyą.

Wystawa psów rasowych odbędzie się w Sosnowcu w d. 4 października. Komitet stara się zgromadzić okazy z całego Zagłębia Dąbrowskiego.

Nadzór nad polowaniem. Wobec rozpoczętego sezonu polowania, gubernator warszawski polecił naczelnikom powiatów wzmocnić nadzór nad przestrzeganiem przepisów o polowaniu, utrzymywaniu psów i broni myśliwskiej. Do nadzoru tego polecono powołać również sołtysów z nadmienieniem, że w razie wykrycia u kogokolwiek z ludności miejscowej broni, karani będą sołtysi.

Biała jaskółka. P. Edmund Sokołowski, syn radcy Tow. kredytowego ziemskiego, zabił w Nartach, majątku ojca, całkowicie białą jaskółkę. Rzadki ten okaz ma około główki tylko lekkie opierzenie koloru jasno-kawowego, reszta zaś piórek jest biała.

Tragiczny wypadek. Inspektor gazowni warszawskiej, p. Edmund Pulst, b. współwłaściciel firmy „Gerlach i Pulst", wyjechał w z. m. na polowanie pod Nowy Dwór. Tu, zapędziwszy się za dziką kaczką na brzegu Narwi, wpadł w rzekę i utonął. Zwłoki wydobyto wtedy, gdy już wszelki ratunek był niemożebny. Zmarły liczył 45 lat wieku, pozostawił żonę i siedmioro dzieci. Tragiczny ten zgon dotyka szerokie koło przyjaciół, których ś. p. Pulst posiadał w sferach przemysłowych i obywatelskich naszego miasta.

Zamach kłusownika. W dniu 26 sierpnia o godz. 3 p. p. na polach włościańskich we wsi Braciejówce w Olkuskiem polował jakiś kłusownik. Gdy podszedł doń włościanin z tejże wsi, Tomasz Głąb, i zapytał, czy ma pozwolenie na broń, kłusownik w odpowiedzi wystrzelił, raniąc Głąba w lewe biodro. Zbrodniarz zbiegł, a rannego odwieziono do szpitala w Olkuszu.

Puszcza Kampinoska. Z powodu wycieczki zbiorowej do puszczy Kampinoskiej, pisma przypominają, że były czasy, gdy w puszczy polowano na łosie i jelenie (Jan III) oraz niedźwiedzie (Stanisław August). Do r. 1637 przebywał tu stale żubr. Główną osadą był Kampinos, stanowiący w r. 1771 starostwo niegrodowe. Obecnie w puszczy hoduje się zając, miejscami sarna, lis, kuna i t. p. Bobry, których moc gnieździła się w puszczy, oddawna wyginęły. Cała puszcza ciągnie się na przestrzeń 10,000 dziesięcin. Turyści zwiedzili również głuchy zakątek puszczy, gdzie niegdyś miał się wznosić zameczek myśliwski (sięgający podobno, czasów Batorego). Śladu nawet po nim nie zostało.

Śmierć od kolców jeża. W Zagrobli koło Tarnopola zdarzył się niezwyky wypadek. Podczas grabienia koniczyny w polu znalazł robotnik Michał Karyj, 16 lat liczący chłopak, młodego jeża. W żartach rzucił go na piętnastoletniego Jaśka Styrana tak nieszczęśliwie, że kilka kolców wbiło się w głowę Styrana. Po dwóch godzinach zaczął się Styran skarżyć na silny ból głowy, w domu zaś po trzech godzinach zmarł.

Karabin bez huku. W Nowym Jorku odbyły się w obecności wielu oficerów, próby z nowym karabinem Maxima. Karabin ten miał, według zapowiedzi, posiadać tą zaletę, że przy strzelaniu nie wydaje żadnego huku. Dzieje się to skutkiem przytwierdzenia do zwykłego karabinu wojskowego, przyrządu tłumiącego łoskot eksplozyi. Przyrząd ten może być z łatwością przytwierdzony do każdego karabina. Próby wykazały, że w odległości 1,500 kroków najwprawniejsze ucho nie zdoła usłyszeć strzału. Niedogodnością wynalazku jest to, że przyrząd osłabia chyżość początkową o 5 do 6 proc.

Roosevelt w Afryce. Wyjazd prezydenta Stanów Zjednoczonych, jak już donosiliśmy, na polowanie do poł. Afryki ma nastąpić dnia 7 marca r. p. Dla lepszej wprawy w strzelaniu, na pokładzie okrętu ma być dla prezydenta urządzona strzelnica. Na miejscu prezydent stanie 21 marca.

Walka policyanta ze lwem. W Reading, w stanie Pensylwania Ameryki Północnej, podczas wjazdu cyrku, w śródmieściu, wieczorem na jednym z wozów, wskutek wstrząśnięcia, uszkodził się zamek klatki, w której znajdował się lew, skutkiem czego drzwi klatki się otworzyły. Wspaniały król zwierząt, korzystając z tej sposobności, wydał ryk przeraźliwy i w jednej chwili znalazł się na ulicy, przepełnionej spacerującą publicznością. Przebiegając w szalonym pędzie wzdłuż kilku ulic, wywołał panikę nie do opisania. Przerażona publiczność kryła się w popłochu po domach. Lew, poczuwszy wolność, pędził dalej, aż wreszcie jednym skokiem przesadził wysokie sztachety żelazne ogródka, przylegającego do domu p. J. Harrisa. W tej chwili zbliżył się policyant, Henryk Ennis, a nie zważając na ostrzeżenie dozorcy cyrkowego, który pędził za lwem, by się nie ważył tam wejść, gdyż lew go rozszarpie, nacisnął tylko silniej hełm na głowie, a ująwszy swą pałkę, wszedł do ogródka, by zmierzyć się z królem pustyni. Lew, wydając ryk przeraźliwy, szykował się właśnie do skoku, gdy policyant, wymówiwszy słowa: „Ja chcę się z tobą zmierzyć!" uderzył go bardzo silnie pałką w koniec nosa. Lew, rycząc, usunął się na bok, po chwili jednak dał powtórny skok, z równą jednak siłą i zręcznością został uderzony pałką po nosie. Widząc, że ma godnego zapaśnika, lew opuścił łeb, w spokoju powrócił i w pokornej postawie ukrył się w kąciku pod schodami. Policyant zawołał wtenczas na dozorców, by pokonanego lwa zabrali, ci przystawili klatkę do drzwi, co widząc lew, natychmiast sam wszedł do niej. Licznie zgromadzona publiczność urządziła odważnemu policyantowi owacyę.

Walka byka z tygrysami. W jednym z prywatnych ogrodów w Marsylii, odbyła się w żelaznej klatce walka byka z dwoma młodymi tygrysami. Żądna silnych wrażeń publiczność zapełniła szczelnie ogród, czekając na rozpoczęcie się walki. Jakoż byk rzucił się na jednego z tygrysów, porwał go na rogi i rzucił w kąt, gdzie przerażone zwierzę, drżąc, zwinęło się w kłębek. Drugi tygrys, poczęstowany uderzeniem rogu i zraniony, również ukrył się w kącie klatki. Publiczność, niezadowolona z takiego obrotu walki, usiłowała podraźnić byka i zmusić go do dalszych ataków, ale byk zachowywał się spokojnie. Wobec tego wyprowadzono go z klatki, a drugą walkę zapowiedziano na przyszły tydzień, ta jednak nie przyszła do skutku, gdyż prefekt stanowczo zabronił powtórzenia widowiska. Walka ta miała być zużytkowana na cele kinematografu.

Apetyt niedźwiedzia. Pociągiem towarowym w Czechach wysłano z dóbr ks. Schönborna do Halli nad Salą niedźwiedzia. Na stacyi w Chebie niedźwiedź zdołał pręty żelazne klatki o tyle rozsunąć, że się z niej wymknął. Chodząc po zamkniętym wagonie, zaczął się rozglądać pomiędzy pakunkami. W wozie znajdował się kosz z czereśniami, cebrzyk z masłem, skrzynia z jajami i kilka koszów z drobiem. Niedźwiedź rozbił skrzynię z jajami, których wypił sto jedenaście sztuk. Z koszów wydobył dwie gęsi, dwie kaczki i kilka kurcząt i wszystko to pożarł. Następnie wyłupał denka z czterech cebrzyków masła, część masła zjadł, a resztą wysmarował ściany wagonu. Wreszcie zerwał płótno z kosza, zawierającego czereśnie, i jadł do syta, resztę zaś podeptał. Robotnicy kolejowi, ani przypuszczając, co się w wagonie dzieje, otworzyli go, ażeby wydobyć z niego towary. Gdy odsunęli nieco drzwi, odezwało się mruczenie niedźwiedzia. Odpięto wagon, a służba ks. Schönborna, który przybył na stacyę, przeprowadziła niedźwiedzia do innego wagonu, poczem ulokowała go w naprawionej klatce.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.).*

Strzelba.

Dobra strzelba nie na jednego ptaka.
Strzelba, koń i żona rzecz nie pożyczona.
Strzelbie, klaczy i niewieście nie wierz: czy to na wsi, czy to w mieście.
Nie rzucaj kamykiem, konia nie bij rzemykiem, nie mierz strzelbą do nikogo, bo możesz przypłacić drogo.
Czekaj lisie, z strzelbą zobaczysz się!
Psu, koniowi, strzelbie, babie-szelmie — nigdy nie wierz.
Co po zwierzynie, kiedy strzelby niema.

Strzelec.

Hardy strzelec w swoim lesie.
I dobry strzelec czasem chybi.
Kiedy strzelec mokry, a rybak niesuchy, to obadwa nie są zuchy.
Na dobrego strzelca zwierzyna sama idzie.
Strzelec i gracz nigdy nie bogacz.
Strzelec mówi: prosto mierz, w Boga wierz, nie chybniesz.

Strzelec nie zawsze tam trafi, dokąd mierzy.
Strzelec ptaka zabije, a cielę zje.
Strzelec strzela, Pan Bóg kule nosi.
Ślepy strzelec, pijany poseł, a kulawy skoczek: jedną drogą idą.
To strzelec od kurka (doskonały).
Z muzykanta, ze strzelca i z tracza nigdy nie będzie bogacza.
Rusznica strzelca nie uczyni.
Rybak suchy, a strzelec mokry dyabła warci.
To mi nie strzelec, ale istny ciura, który spudłuje do tura.
Dobry strzelec zwierzyny nie jada.

Strzelnica.

Kurek na strzelnicy pokazać. (Ludzić obietnicami).

Suka.

Albo to moja suka pies?
Nie dla suki sadło.
Powiedział pies suce, że się zna na tej sztuce.
Babuni wnuczka, kucharzowa suczka, ekonomski koń: Panie Chryste broń!
Gwałtem chciała baba wnuka, wyleciała z pieca suka.

(C. d. n.).

Treść Nr. 18 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).
Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.
Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.
Pojedyńczy numer „Łowca Polskiego“ 30 kop.
Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego“** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.
Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.